

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.

W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.

W W. Ks. Poznańskim: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.

W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje.

Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce.

Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Świat Nr. 4.

Większa własność ziemska w Galicyi.

Mówi się tu u nas wiele o ratowaniu ludu z nędzy, o najwłaściwszych sposobach podźwignięcia jego bytu materialnego i t. d. — Zapewne, jest to jedno z najważniejszych zadań pracy organicznej. Dziwne to jednak, że w dyskusyi publicznej nie zdobyła sobie dotychczas prawa obywatelstwa druga, równie może ważna sprawa społeczna — mianowicie kwestya większej posiadłości ziemskiej! Porównawszy bowiem dokładniej stan materialny wielkiej i małej własności ziemskiej w Galicyi, przekonac się można w sposób dotykający i niezbity, że pierwsza znajduje się u nas w położeniu dziesięćkroć krytyczniejszym niż ostatnia. I tak naprzykład: na obszarze 5,800,000 morgów, stanowiących własność dominialną, ciąży przeszło 200,000,000 — wyraźnie, dwieście milionów guldenów hipotecznie zapisanych długów, gdy na 7,800,000 morgach gruntów chłopskich, niema nawet 25,000,000 guldenów długów, czyli inaczej: na każdym morgu własności dworskiej ciąży przecięciowo 34.50 guldenów długów, na każdym zaś morgu chłopskim tylko 3.20 guldenów. Już same te dwie cyfry w zestawieniu obok siebie, okazują dobitnie olbrzymią różnicę, jaka zachodzi w obciążeniu większej i małej posiadłości ziemskiej w Galicyi — różnicę, wychodzącą na niekorzyść większej posiadłości.

Kwestya większej własności ziemskiej w Galicyi przedstawia się nam jednak o wiele groźniej, jeżeli zechcemy zbadać genezę tych objawów chorobliwych, które u nas żywił rodzimy po dworach rozciągają. W takim razie odsłoni się bowiem przed zdumionemi oczyma naszymi w całej nagości okropne spustoszenie, jakie pomiędzy szlachtą galicyjską wyrządza żydostwo!

W piśmie waszem była już raz podobno dotknięta różnica, jaka zachodzi w liczbie żydowskich właścicieli dóbr, uprawnionych do głosowania w kuryi dworskiej, przy wyborach poselskich, mianowicie przy pierwszych, które odbyły się w roku 1861 i przy przedostatnich, odbytych w r. 1876, a więc w 15 lat później. — Stosunek powiększenia się liczby żydowskich właścicieli dóbr, staje się jednak o wiele więcej uderzającym, gdy porównamy i liczbę wykupionych przez żydów dóbr, wedle list wyborczych z roku 1883. W szesnastu okręgach wyborczych kuryi dworskiej, na jakie podzielony jest kraj tutejszy, należało do żydów wedle urzędowych list wyborczych:

posiadłości

wo okręgu wyborczym w roku 1861 w roku 1876 w roku 1883

1. Krakowskim	4	24	22
2. Brzezańskim	3	14	19
3. Przemyskim	4	12	17
4. Złoczowskim	4	34	41
5. Czortkowskim	1	20	35
6. Tarnowskim	6	27	63
7. Tarnopolskim	—	28	45
do przeniesienia	22	159	242

posiadłości

wo okręgu wyborczym w roku 1861 w roku 1876 w roku 1883

	z przeniesienia	22	159	242
8. Sanockim	5	22	41	
9. Samborskim	2	31	41	
10. Żółkiewskim	4	20	29	
11. Nowosądeckim	—	6	7	
12. Rzeszowskim	2	17	42	
13. Stryjskim	—	15	23	
14. Stanisławowskim	3	15	29	
15. Kołomyjskim	3	5	20	
16. Lwowskim	—	3	5	
Razem	41	293	479	

A zatem, w przeciągu 22 lat ostatnich pomnożyła się liczba posiadłości, które przeszły w Galicyi w ręce żydowskie, przeszło 11 razy; a o ile szybciej z każdym rokiem wzmagą się ten fatalny stosunek, świadczy ta okoliczność, że gdy w piętnastoletnim okresie, pomiędzy rokiem 1861 a 1867 przechodziło rocznie w przecięciu 19.5 nowych posiadłości dominialnych w ręce żydów, to w ostatnim sześcioleciu wyborczem (od wyborów w roku 1876 do roku 1883) nabywali już żydzi z rąk chrześcian corocznie po 31 dóbr nowych. — Wedle zaś zdania tych, co często mają do czynienia z tabulą, nigdy jeszcze nie przeszło tyle i tak rozległych majątków w posiadanie żydów, jak w roku 1883. I teraz naprzykład są już „napięte“ kupna przez żydowskie spółki, tak rozległych kluczów, jak np. Strusów i Tlumacz, oba szacowane na kilka milionów guldenów.

Jeżeli przy tem zważymy, że propinacye, gorzelnie, wypasy wołów, sprzedaż ziemiopłodów, wyręby lasów, młyny i tartaki, a wreszcie dzierżawy, niemal wyłącznie zagarniają w ostatnich czasach żydzi, to przekonamy się, jak daleko zaszło już opanowanie większej posiadłości ziemskiej w Galicyi przez żywił izraelski.

Do czego wreszcie żydzi zmierzają z właściwą sobie, nieubłaganą wytrwałością i konsekwencyą, objaśnia następujący wypadek, przytoczony w rusińskiej gazecie *Dilo*, przez prezesa sejmowego klubu posłów ruskich, księdza Stefana Kaczałę.

„W Zbarażu — pisze poseł Kaczała — otrzymali przy wyborach do Rady powiatowej, która składa się z 26 członków: Rusini 12 głosów, Polacy 11, Żydzi 3. — Tak więc ani Rusini, ani Polacy nie mieli większości w Radzie. Po której stronie stanęliby Żydzi, ta miała zapewnioną większość. Rusinom zachciało się wybrać Rusina marszałkiem powiatowym, więc zaproponowali żydom, aby z nimi głosowali, a w nagrodę ofiarowali im mandat vice-marszałka do rozporządzenia. Żydzi odpowiedzieli: „To sprawa ważna, dziś odpowiedzi wam nie damy — musimy naradzić się.“ Po naradzie oświadczyli: „Nie; propozycyi waszej nie przyjmujemy.“ — Gdy Rusini poczęli napierać o objaśnienie powodu odmowy na tak korzystną dla żydów propozycyę, odpowiedział jeden z nich: „Widzicie, jeszcze na nas nie przyszedł czas. Jakbyśmy to zrobili, czego wy od nas żądacie, to powstałby przeciwko nam ogromny hałas w kraju, a to szkodziłoby naszym interesom. My musimy jeszcze tańczyć jak nam Polacy grają — ale tego tańca nie będzie już długo. Za jakich 20 — 25

lat, majątki ziemskie i miasta przejdą w nasze ręce. Niech tymczasem panowie bawią się w marszałków, posłów, delegatów — a my będziemy brali, co się da. My wzmocnimy się a wtedy czy żyd będzie taki głupi, ażeby wybierał Polaka? Żyd będzie głosował na swego! — Wy nam dziś ofiarujecie mandat wice-marszałka, a my — poczekamy trochę i będziemy mieli swoich nie tylko wice marszałkami, ale marszałkami, posłami do sejmiku i delegatami do Rady państwa. *Wówczas wszystko będzie nasze!*"

To podobno dość wyraźne...

W roku 1861 było uprawnionych do głosowania przy wyborach do sejmiku, — żydowskich właścicieli dóbr dominialnych na cały kraj tylko 39, w roku 1876 już 153, a w roku 1883 aż 333, to jest niemal czwarta część tej liczby wyborców właścicieli dóbr, jaka istotnie w głosowaniu udział wzięła (1,398). Gdyby nie szybciej już ale w takim samym tylko stosunku wzmagała się liczba żydowskich wyborców w kuryi szlacheckiej, jak w okresie czasu od roku 1876 — 1883, to już w trzeciej kadencji wyborczej, t. j. za ośmnaście lat, w liczbie głosujących 1398, mieliby żydowscy właściciele dóbr *większość!*

Czyż więc nie czas postawić i u nas na porządku dziennym dyskusji publicznej kwestję ratowania większej własności ziemskiej?...

Teofil Merunowicz.

Czego chcą od nas?

(List szlacholca).

Pewna część naszej pseudo-postępowej prasy, uważa sobie za święty obowiązek, ciskać z łuków zbudowanych przez niemiecko-żydowskich liberalów, strzały na szlachtę i księży. Wszyscy ludzie młodzi, olśnieni nowością idei niby demokratycznych i niby postępowych, nie znający życia i najbliższej nawet przeszłości naszej, znajdując łatwy, bo niewiele kosztujący, przystęp do łamów owych pisemek, próbują swych młodych piór na szlacheckiej i księżej skórce. Bogiem a prawdą młodym nie ma się co dziwić. Przy braku tego doświadczenia, jakie tylko życie dać może, mickiewiczowskie „hejże na Soplicę“, wydaje im się szczytem rozumu, szczytem służenia poczciwej sprawie.

Lecz redaktorzy tych pisemek, nie znajdują nic na swe usprawiedliwienie, chyba względy własnej kieszeni i łatwości włazenia na pochyłe drzewo.

PUŁKOWNIK.

OBRAZEK WIEJSKI

przez

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg).

— Jak dla kogo! moja droga, zresztą jest to bardzo naturalne, nie działa tu żadna siła nadprzyrodzona, żadne jasnowidzenie miłości, tylko obserwacja czujna i nieustająca. Otóż kiedy Alfred, nie zważając na moją obecność opuszczał salon, widziałam, że zapalał cygaro — ja ogień ten widzę tam właśnie...

— Ach!

— Śmiejesz się zapewne z tak prozaicznego środka... Cóż robić? dawniej zakochanych prowadziły gwiazdy — dziś zaś innego ognia prócz cygarowego nie widzimy. Smutne tu jest — o bardzo smutne. Mówiąc to znowuż oparła jasną swą główkę na rękę i utonęła w milczeniu.

— Więc twierdzisz Natalciu, że usposobienie mego męża nie mogło na Alfreda wpłynąć niekorzystnie?

Pominąwszy już nierycerskość takiego postępowania, należałoby się zapytać tych panów, czem oni właściwie są, do kogo należą, co przedstawiają?

Cóżby bowiem powiedziano o takiej rodzinie, która posiadając dom, samaby się nań rzucała? — Postępowanie takie nie byłoby ani mądre, ani dobrze mówiące o miłości ogniska domowego tej rodziny.

Można zresztą nie mieć tej miłości, można kochać świat cały, co znaczy nic nie kochać, ale wątpię, by ktoś rozumny działał tak nierozsądnie, iżby pomagał do upadku budynku, w którego gruzach sam zagrzebać się może.

Przypowieść jak przypowieść, niech służy temu, kto ją chce usłyszeć, ale wracając się do przedmiotu, o którym mówię, pytam tych panów, czego oni właściwie chcą od tak zwanej szlachty i księży?

Zaprawdę, trudno na to odpowiedzieć. Nasza szlachta, mówiąc ściśle, nie jest żadną szlachtą. Niema ona ani wyłącznych jakichś przywilejów, ani też do tego pretensyj, któreby zresztą nigdy się nie ziściły; niczego nie chce, chyba tego, żeby jej pozwolono spokojnie dalej uprawiać zagon oczysty. Nie jest ona ani tak zamkniętą w sobie jak szlachta niemiecka, ani też tworzy osobnego organizmu w ustroju gminnym jak rosyjska, słowem, niczem się nie różni w życiu publicznym, prawnym i społecznym od chłopca, szewca lub kupca. Czegóż więc od niej chcą? co to wreszcie komu szkodzi, jeżeli ten i ów, mający za sobą kilka pokoleń historycznych marzy sobie o tych pokoleniach? — Co to, powtarzam, komu szkodzi, gdy ów szlachcic w życiu społecznym, w obec prawa, równy jest Maćkowi z Psiej Wólki?

Podobnie się rzeczy mają z księżmi. — Czegóż od nich chcą pseudo-liberały? Czyż księża stawiają opór postępowi wciskającemu się do społeczeństwa różnemi drogami? Czy ciskają kłatwy na koleje, telegrafy, telefony i tysiączne inne wynalazki, stanowiące istotny objaw postępu? Czy bronią uczonym badać najnowsze zdobycze nauki? czy wreszcie chcą jakiego wyłącznego, uprzywilejowanego stanowiska?

Broń Boże, nic z tego wszystkiego nie chcą. — A może pseudo-postępowcy warszawscy chcą, by miejsce księży zajęli rabini? Czemuż, jeżeli w ogóle są przeciwni duchowieństwu, nie rzucają się, dajmy na to, na sławnych rabinów z Grodziska, Kocka, Kozienic i t. p., którzy przedstawiają prawdziwy obraz ciemnoty i fanatyzmu?

Prosimy o odpowiedź na te pytania. Nim jednak ona

— Prawie pewnam tego. A w każdym razie, chociażby nawet ten wpływ mógł oddziaływać, to nigdy w takim aż stopniu.

— Przypuszczasz więc, że są inne jakies wpływy?

— Tak jest, chciałabym się nie domyślać, a lękam się odgadnąć.

— Ależ na czem opierasz twoje przypuszczenia?

— Na całym szeregu spostrzeżeń. Ty, moja droga, będąc słabowitego zdrowia i spijając prawie do południa, widzisz go tylko przez pół dnia zaledwie, ja zaś.

— Jakto? Natalciu, czyż byś ty teraz o wschodzie słońca wstawała?

— Tak... tak... pomimo odmiennego zupełnie przyzwyczajenia, widuję codzien jutrzeńkę, którą dawniej oglądałam przypadkowo tylko, powracając z zabawy... Zmieniła się postać rzeczy — dawniej wschód słońca mnie usypiał, dziś budzi.

— I cóż ty nieszczęśliwa robisz przez ten czas?

— Co ja robię? gram rolę Ofelii; przechadzam się po alei grabowej i oskubuję pierwszą lepszą różę, jaka mi wpadnie pod rękę... śpiewam przytem co smutnego...

Rozśmiała się pani.

— A cóż robi o tej porze twój Hamlet?

— Otóż to, że nie wiem.

— Śpi zapewne.

nastąpi, a w ogóle wątplię by nastąpiła, pozwolę sobie sam odpowiedzieć.

Pseudo-postępowcy warszawscy nie rzucają się na rabinów, a na patrycyat plutokratyczny z drugiej strony, bo im nie idzie o zasady, o idee, o przeprowadzenie swych przekonań. Nie dla tego oni wymyślają na szlachtę i księży, że ta szlachta stawiaćby mogła opór ich „źródłom żywej wody“, ale dla tego, że obie te główne warstwy, w poczuciu miłości własnego kraju, stawiają opór zalewowi żydowskiego indyferentyzmu i żydowskiemu wyzyskowi.

Oto jest rdzeń kwestyi.

Tani liberalizm, którego strzępy zużyte są i szwarzane przez włóczęgę po całym świecie, znalazł przytułek u bohaterów świeżo wyszłych z Nalewek, i stał się bronią, którą wojując, tumania młode umysły. *Ich kenne meine Pappeneheimer*, woła Szyllerowski Wallenstein, i my was znamy warszawscy liberaliści!...

A przytem, jakże łatwe znaleźliście pole do waszych mniemanych walk i problematycznych zwycięstw! ze sprytem właściwym starej, zużytej i do szpiku kości zgangrenowanej rasie, umiecie się rzucać tylko na tych, którzy bronić się nie mogą. Posiedliście większą część prasy warszawskiej, i z solidarnością semicką nie dopuszczacie obrony interesów naprawdę ogólnych. — Was tylko obchodzą wasze interesa, i zapominając o tem, że wolność wymyślania szlachcie polskiej otrzymaliście z rąk szlachcica polskiego, — z niewdzięcznością Judasza Iskarioty, zdradzacie wszędzie tę szlachtę.

Hejże na Soplicę! wołacie, będąc pewni, że ten Soplica nie dobędzie na swą obronę, nie już pradziadowskiej szablicy, ale nawet pióra. Znamy waszą taktykę *dzielni* rycerze. Tylko patrzeć jak się do chłopca weźmiecie, z chwilą, gdy i ten chłop pocznie wam przeszkadzać. Ale nie radzę wam tego...

Tymczasem rozkryto wasze karty, wiemy jakie macie atuty i zjeść się też tak łatwo nie damy, nawet wtedy, gdy z właściwą sobie zręcznością włóczących się po tawernach świata Alaswerusów, zrobicie jaką woltę, gdy nawet z Mośkową galanterią zajrzycie w karty przeciwnika.

W.

— O nie, moja droga, mój nieduński królewicz wstaje jeszcze wcześniej i nie udało mi się powiedzieć mu o wschodzie słońca „dzień dobry“. Witam go dopiero znacznie później kiedy już powraca z wycieczki.

— Opowiadasz mi prawdziwe nowości i, rzecz dziwna, ani przypuszczałam nawet, że w moim własnym domu, dzieją się takie nadspodziewane dla mnie historye. Alfred wstaje przed świtem i znika! Natalcia zrywa się o wschodzie słońca, ach to już koniec świata chyba! ale ostatecznie czy nie dowiadywałaś się gdzie ten twój Hamlet wędruje i czego szuka nareszcie.

— O ile mogłam się dowiedzieć, bez zwrócenia na te pytania niedyskretnej uwagi służby, to Alfred albo wychodzi pieszo ze strzelbą, albo też konno wyjeżdża.

— I nie wiesz dokąd?

— Nie, niestety. Tego tylko jestem pewna, że mój, jak go nazwałaś Hamlet, nie błądzi po cmentarzach i nie rozmawia z czaszką Yorika. Powraca najczęściej w usposobieniu ponurem i chmurnem, ledwie że raczy głową kiwnąć na moje powitanie... Dwa razy tylko dostrzegłam w jego oczach blask szczególnie, blask niekłamane szczęścia, czy też jakiejś radosnej nadziei. Dostrzegłam ten płomień w przelocie, ale skoro oczy Alfreda z mojemi się spotkały, blask zniknął natychmiast i dawny smutny wyraz na nie powrócił. Oto takie są dzieje moich poranków spędzanych

REALIZM FRANCUZKI I JEGO WYZNAWCY.

Wiek XIX zaczyna się w literaturze francuzkiej reakcją przeciw rozumowi XVIII. — Nowa generacja literatów burzy powagi minionego stulecia, zwracając się głównie przeciw Voltaire'owi, „złemu geniuszowi“ epoki oświeconej. Ostaje się jedyny Rousseau, bo on jeden, choć przyspieszył niepraktycznymi swemi marzeniami straszliwy wybuch, znał mowę serca i wyobraźni.

Sławna córka Necker'a, wychowana w salonach, w których panowali kolejno: Buffon, Thomas, Marmontel, Sédaine i inni, przywykła od kołyski do rozmów uduchowionych, zaczyna karierę literacką od prac, poświęconych pamięci Rousseau'a (*Lettres sur le caractère et les écrits de J. J. Rousseau*) a zyskuje większy rozgłos apoteozą jego idei (*De l'influence des passions sur le bonheur des individus, et des nations*). — W pracach tych, zwłaszcza w ostatniej, w której wielbi namiętność, jako jedyne źródło szczęścia, tak jednostek jak narodów, jest pani de Staël jeszcze zwolenniczką sensualizmu. Lecz już w roku 1880 (*La littérature considérée dans ses rapports avec les institutions sociales*) wraca do wiary w Boga, w Opatrzność. Elementarne te prawdy były wówczas zupełną nowością. Pani de Staël stoi w pierwszej połowie swej działalności literackiej na przelomie starej i nowej epoki.

Pierwszym właściwym reakcjonistą przeciw rozumowi „oświeconych“ jest René de Chateaubriand. — Jego „duch chrześcijaństwa“ (*Le génie du christianisme*) miał zagrać serca do Kościola, utworzonego przez Napoleona. Emigrant z czasów rewolucyi, wróg przewrotu, postanawia Chateaubriand wrócić cześć chrześcijaństwu i zabiera się do tego bardzo zręcznie, bo nie posługuje się zdyskredytowaną metodą rozumową minionego stulecia, lecz uderza w struny serca i działa wspaniałym kolorytem na wyobraźnię.

Mimo tego zwrotu przeplata jednak pesymizm artystyczny czarną nicią całą beletrystykę t. z. „literatury emigranckiej“. Spotykamy go w „Obermannie“ Stefana de Sénancourt, widzimy go w wyższym stopniu w „Adolfie“ Benjamina Constant, a nawet w „Delfinie“ pani de Staël, kobiety trzeźwej w drugiej połowie swej działalności pisarskiej.

Chateaubriand i Sénancour adwokatują głównie męskiej połowie rodzaju ludzkiego, pani de Staël i Benjamin Constant bronią praw jednostki niewieściej. Na czele „Delfiny“ świeci ponurym blaskiem smutne zdanie: Mężczyzna musi umieć *oprzeć* się opinii publicznej, kobieta zaś *poddać* się tej wrogiej potędze. — Dopiero w „Korynnie“ dojrzewa myśl pani de Staël; żal pokornieje, krew wystudza się, pesymizm szlachetnieje, rezygnując na korzyść idealniejszych celów życia.

bezsennie — nie wesoło jak widzisz i taka przyczyna mego roztargnienia i smutku.

— Biedna dziewczyno, rzekła z współczuciem pani Stanisławowa, teraz dopiero widzę, jak ty go bardzo kochasz, lecz nie obawiaj się.

— O nie, nadaremnie chcesz mnie uspokoić, ja obawiam się i bardzo się obawiam — ja aż dotychczas sama nie wiedziałam o tem, że noszę w sercu tak głębokie uczucie. — Ono było jakby uspięne aż dotąd, dopóki nie zaczęło mu grozić niebezpieczeństwo poważne...

— Ach! — zawołała pani nagle, uderzając się w czoło — jestem na tropie, pułkownikówna!

— Tak, pułkownikówna...

— Ależ to dragon, to prosta dziewczyna wiejska, bez wychowania żadnego, to pół-dzikie stworzenie, które przeciwie nie może się mierzyć z tobą... Ona śnić nawet nie ma prawa o tem, żeby mogła kiedy być twoją rywalką...

Na te słowa Natalcia zerwała się z kozetki, wyprostowała się i zaczęła mówić z takim ożywieniem, z takim przejęciem się głębokiem, że nie słyszała nawet odgłosu zbliżających się kroków i nie zauważyła, że czerwony odblask cygara przysuwał się ku drzwiom coraz bliżej.

— O, nie mów tak, proszę cię, nie mamy prawa do tego; ja sama pomagałam ci nieraz szydzić z jej wychowania ekscentrycznego nieco, które dla tego nam się podobać nie

Pierwsze cesarstwo nie sprzyjało literaturze w ogóle, a szczególnie pięknej. Napoleon, wróg „ideologów“, popierał tylko ten rodzaj piśmiennictwa, który wielbił czyni *de la grande armée*. Szernieję swobodniejszego słowa, panią de Staël, pozbawia ukochanego Paryża, którego „ścieki uliczne były jej miłsze od błękitnych fal jeziora genewskiego“, a młodego Lebrun'a wynagradza znaczną pensją za ode, napisaną na cześć wielkiej armii. — W but żołnierski odzianą, hałaśliwą stopą przebiega francuz pod wodzą Napoleona całą Europę, więc nie ma czasu do skupienia się do pracy umysłowej. *Inter arma silent musae*.

Nie tak myślała Opatrzność dziejowa, powołując do rządów żołnierza-szlachcica bez tradycji rodowej, bez świetnego szeregu możnych przodków. On wyszedł z gminu szlacheckiego, z warstw, odsuniętych od bezpośredniego rządzenia, a wzbil się wysoko na rozhułkanych rewolucyj falach, unoszony za pomocą skrzydeł własnego geniuszu, popierany autorytetem osobistej dzielności i zasługi. Był on rzeczywiście powołany do zrobienia porządku, do sprowadzenia szumiących balwanów buntu w spokojne łożysko umiarkowanego postępu.

Jako szlachcic, nie zionął nienawiścią plebejuszów do klas, dawniej uprzywilejowanych, z których sam wyszedł; jako żołnierz przywykł do porządku i karności; jako człowiek osobistej zasługi nie mógł mieć serca do nieprawnych uroszczeń trutniów społecznych.

Lecz Napoleon zmalął, kiedy zasiadł jako król pomiędzy królami, — zamiast imię swoje uczynić jako drugi Cezar najwyższą tej ziemi godnością.

Nareszcie!... Bitwa pod Waterloo przegrana — Bonaparte zrzeka się w Fontainebleau tronu Francji za siebie i za swego syna — rok 1815 — Ludwik XVIII wraca z tryumfem do Paryża — nareszcie... naród oddycha, bo nad stolicą powiewają białe Burbonów lilie, zwiastuny pokoju z oliwną gałązką. Od roku 1789 widziano tylko krew, nie tylko krew, więc uchylił zmęczony lud skołataną skroń apatycznie przed legitymizmem. — Niech rządzi kto chce, byle bez pałasza.

Teraz dopiero zaczyna się prawdziwa reakcja, zwana restauracją, występująca także w literaturze szczerze i otwarcie. — De Bonald, de Maistre, de Lammenais i Ballanche, wytrawni pisarze, znani już dawniej, lecz jeszcze nie uznani, występują jako namiętni obrońcy legitymizmu w rządzie i kościele. Dawniejsi, nieszczerzy zachowawcy, epoki przejściowej synowie, cynicy mimo swej potulności i prawomyślności, którzy wyrozumowali zachowawczość, zamiast ją odczuć, stają się teraz także prawdziwymi konserwatystami. Autorom politycznym pomagają historycy, filozofowie, a nawet żywe słowo, wygłaszane na katedrach profesorskich przez Guizot'a, Cousin'a i Villemain'a; w końcu staje i młoda poezja w obronie ołtarza i tronu: Alfons de Lamartine, (*Les Meditations*) i Victor Hugo (ody, ballady, *Feuilles d'automne*). — Na całym szeregu linii bojowej grzmi groźne

może, że ostatecznie nie jest do naszego podobnem. Śmiałam się bezmyślnie, co prawda, bo zresztą i cóż mnie obchodziła ta panienka? Nie znałam jej wcale, nie przypuszczałam że ją kiedykolwiek znać będę, a tembardziej jeszcze, nie sądziłam nigdy, że los może ją postawić na drodze mego życia i szczęścia; od pewnego jednak czasu, ona nie może być dla mnie obojętną...

— Ja myślę, że cię nic a nic obchodzić nie powinna.

— Przeciwnie, jeżeli ma być walka, jeżeli stanęliśmy w smutnej dla obydwu może roli rywalek, to należy badać nasze siły. Nieprzyjaciela lekceważyć nie wolno, a skoro już ją za nieprzyjaciela uważam, tedy ci powiem, moja droga, że według wszelkich informacji, jakie troskliwie bardzo zbierałam, przyznać muszę, że jest to nieprzyjaciel poważny.

— Egzageracja!

— Nie, po stokroć nie! to rzeczywistość, niestety. Nie zaprzeczysz przecie, że pod względem powierzchowności może najwybredniejszy gust zadowolnić. Twarz jej przypomina główki Murilla...

— No... zapewne, ujdzie, nawet jest dosyć gładką dziewczyną, nie przeczę... ale gdzież wykształcenie?, jakaż edukacja?...

— O, moja droga, jak widzę, z wyżyn twego pałacu nie chcesz patrzeć na zwykłych śmiertelników i nie wiesz

hasło: cofać się! Nawet ucieszny Béranger, prawy syn duchów: Rabelais'a i Montaigne'a, natchniony „duchem chrześcijaństwa“, chodzi do kościoła i marzy o wielkiej epopei religijnej. — Precz z rewolucją, niech przypadną jej żądania, niech proch niepamięci mogiłę jej pokryje. Tak wołają ludzie pióra mniej więcej aż do roku 1825, bo jeszcze w roku 1824 pisze Hugo hymny na cześć malutkiego Dauphin'a.

Pisząc, śpiewając wyrabiał się Hugo. W przedmowie do Cromwella (rok 1827) był po raz pierwszy sobą, nowych pojęć estetycznych wygłosił nowemu czasowi, jak mu się zdawało, prorokiem, drogowskazem. Od tej przedmowy rozpoczyna się rzeczywiście zupełny przewrót literatury pięknej Francji; jest ona pierwszym, jawnym manifestem tego kierunku, który niesłusznie romantyzmem nazwano. Posłuchajmy, co Hugo w tym sławnym mówi „okólniku“: „ród ludzki odbył już trzy odmiany swego rozwoju: 1) czasy pierwotne, sięgające do Homera; 2) epokę średnią, kończącą się z wystąpieniem Chrystusa; 3) kierunek nowożytny, trwający dotąd. W pierwszej dobie panuje liryka, w drugiej epos, w trzeciej dramat. Chrześcijaństwo wraca cześć *prawdzie*. A ta prawda uczy, że w przyrodzie bywa wszystko pięknem, że brzydota stoi obok wdzięku, karykatura obok skończonej formy, złe obok dobrego i t. d. Hugo pyta się, czy ograniczony, względny rozum artysty zdolny jest do poprawienia Stwórcy, idealizując mieszany Jego porządek, czy ma prawo do rozrywania człowieka na dwie połowy: duchową i cielesną? „Możesz niedokładność być harmonią? Prawdziwa poezja zrówna się z przyrodą, biorąc rzeczywistość za podstawę swych operacji. Czemże jest brzydota? Połączcie z odrażającym przedmiotem rzecz wzniosłą, a stanie się symbolem świętości: powieście Boga na szubienicy, a zrobi się z niej krzyż... i t. d.“

T. Ch.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Listy z Poznańskiego.

VI.

Jak kupiec porządnie swój interes prowadzący, tak i społeczeństwo, którego cały byt przedewszystkiem na ekonomicznych spoczywa podwalinach, powinno utrzymywać bilans interesów swego istnienia.

Wykazałem Wam w pierwszym moim liście, ile większych naszych dóbr przeszło w ręce obce. O mniejszych naszych posiadłościach mogłem w ostatnim moim artykule — dla braku pewnych dat statystycznych — wspomnieć tylko pobieżnie.

co się koło ciebie dzieje. Dowiadywałam się o panie Klarze z ręcznie. badałam ludzi kompetentnych i poważnych pod tym względem. — Wszyscy jednoznacznie przyznają, że pułkownik to człowiek dzielny, głową i sercem, że pokierował edukacją wnuczki jak najrozumniej, a w wyborze nauczycielki był bardzo, bardzo szczęśliwym.

Alfred niepostrzeżony stanął we drzwiach od ogrodu. Usłyszawszy rozmowę, która obchodziła go widocznie, zatrzymał się. Ostatnie słowa Natalci brzmiały donośnie.

— Pułkownik — mówiła — jest człowiekiem zasługi, pełnym poświęcenia się i honoru, a wnuczka jego, ze względu na przymioty duszy i serca, na wykształcenie swoje, nie mówiąc już o powierzchowności czarującej, może być dumą każdej szanującej się rodziny i prawdziwą ozdobą towarzystwa.

Zaledwie Natalcia wymówiła te wyrazy, Alfred stał już przy niej.

Ujął ją za rękę, a spojrzawszy w jej twarz zapłonioną i oczy łzami zaszle, rzekł:

— Serdecznie ci dziękuję, kuzynko, jesteś szlachetną kobietą...

I ucałował obie rączki, które Natalcia wyrwała pospiesznie, i sądząc że jej tajemnica odkrytą została, uciekła do swego pokoju...

W trzecim ćwierćroczu roku przeszłego ruch w sprzedaży i kupnie dóbr u nas bardzo był żywy. Ponieważ rezultat tego ruchu podaliśmy już w N. 45 „Roli“, przeto, odwołując się do tych danych, ograniczę się tylko na następujących uwagach.

Jest to zasmucająco-pocieszający rezultat; zasmucający dla tego, żeśmy idąc ciągle na dół „tyle tylko“, jak się pewien mój znajomy wyraża. stracili, a pocieszający z tej przyczyny, żeśmy nie stracili więcej. Znajdujemy się, jak widzicie, w położeniu tego człowieka, który w krwawej walce o cały byt społeczeństwa stracił jedną rękę i pociesza się w swem nieszczęściu tem, że nie stracił obudwu!

Ktoby sądził, że te nasze straty ekonomiczne niczem więcej nie są, ten niech sobie przypomni, że żyjemy pod roznosiatającym nas ciężarem germanizmu; że utrata ziemi jest obok innych bardzo ważnych względów — prosto i bez frazesów mówiąc, jak najrealniejszą utratą żywności, utratą możności fizycznego życia, a więc niemożnością pomnażania się naszego szczepu, śmiercią indywidualną i społeczną.

To, co się obecnie względem nas w małych dzieje rozmiarach, działo się już od wieków względem innych słowian zachodnich; najprzód w wielkich, potem mniejszych i całkiem małych rozmiarach tak, jak u nas dawniej i teraz. Kto sądzi, że to są zbyt posępnie z przeszłości wysnuwane wnioski, niech zapyta historyi gdzie się podzieli dawni Pomorzanie i Obotryci? Z wszystkich dawniejszych zachodnich szczepów słowiańskich pozostała tylko mała garstka Łużyczan w dzisiejszej Marchii Brandenburskiej i Królestwie Saskiem żyjących. Pierwszych konserwują niejako teraz jako „eine historische Rarität“ (rzadki zabytek historyczny), jako „ein archäologisches Volksobject“ (z ludu złożony obiekt archeologiczny), drugich przynajmniej wprost już nie wytepiają ogniem, mieczem i sprzedażą w niewolę.

Pomimo to jednakże liczba Łużyczan saskich z każdym niemal rokiem widocznie się zmniejsza.

Przed kilkoma laty miałem sposobność mówić z pewnym mieszkańcem Łużyc pruskich. Powiedział mi, że szczerp ten od wieków dzisiejszą Marchią Brandenburską zamieszkuje, z każdym rokiem uszczupla się w liczbie. Skazany wyłącznie żyć z roli, albo ciężkiej pracy ręcznej, jeżeli w braku wszelkich innych zawodów, dających sposoby utrzymania życia, nie chce całkiem zaprzeć się swej narodowości, pójsć pomiędzy obcych i zlać się z nimi, coraz bardziej dogorywa. Kto z tej lub owej ludowej kępki, przez Wendów zamieszkałej, wyjdzie choćby do sąsiedniego miasteczka, lub tylko nawet do sąsiedniej wsi niemieckiej, traci swą narodowość. Dzieje się to także i wtenczas, gdy dziewczyna wendyjska idzie za mąż za Niemca, lub Wend żeni się z Niemką. Potomstwo wszystkich takich małżeństw mieszanych przyjmuje prawie bez wyjątku narodowość niemiecką.

Coraz bardziej uszczuplające się posiadanie ziemi i brak zawodów, dających sposób utrzymania się pomiędzy

Pani Stanisławowej zrobiło widoczną przykrość to nadszodziejane zakończenie rozmowy. — Usta jej skrzywił pełen ironii uśmiech, podniosła szkło do oka i przypatrywała się długo swemu kuzynowi, aż nareszcie jakimś spazmatycznym wybuchnęła śmiechem.

— Czy wolno zapytać o przyczynę tej niespodziewanej wesołości? — rzekł Alfred, wytrzymując spokojnie spojrzenie i śmiech bratowej — czy nie popełnię niedyskrecyi, jeżeli zapytam, co mianowicie tak zabawiło panią?

— Ależ bo zdawało mi się, że nagle przeniesioną zostałam do miasta i ujrzałam scenę z nader romantycznej, starego pokroju, tragedji.

— Imaginacja dziwnie bujna.

— Kiedyż to rzeczywistość. — Dowiaduję się o moim kuzynie nowości, które... które...

— Które co? proszę dokończyć.

— Które... obawiam się abym zbyt nie zadrasnęła uczuć zakochanego serca... które mi każą przypuszczać... czy mogę dokończyć?

— Ależ, proszę o to...

— Które mi każą przypuszczać, że jeden z moich przyjaciół i kuzynów jest na drodze do utraty rozumu.

— Myli się pani, jest na drodze odzyskania go raczej.

swymi, zmuszają do takiej emigracyi choćby tylko w najbliższe sąsiedztwo.

Rzadko nawet zdarzają się wypadki, jak mnie ów Wend zapewniał, ażeby jakiś mężczyzna a nawet kobieta pomiędzy Wendami nie znali o tyle języka niemieckiego, iżby się w nim w razie potrzeby, porozumieć nie mogli. Na Litwie pruskiej jeszcze prędeż można znaleźć Litwina, który wcale nie umie po niemiecku.

Otóż wszystkie te przyczyny sprawiają, że nawet w Królestwie Saskiem pod nieco pomyslniejszymi warunkami żyjący Wendowie, wcale się już nie pomnażają. W roku 1871 liczono ich w Królestwie Saskiem (okrągło) 52000; w 1875 roku tylko już nieco nad 50000, dopiero w r. 1880 podniosła się ich liczba do 51000. W pierwszym z podanych lat wynosiła jeszcze liczba Wendów dwadzieścia dusz na tysiąc mieszkańców całego Królestwa Saskiego, w r. zaś 1880 już tylko dusz siedemnaście. A chociaż cyfra ich ogólna w tym roku nieco się powiększyła, to jednakże ludność niemiecka w stosunku do cyfry tej pomnożyła się znacznie.

Z wyjątkiem kilku małych kępek wśród ludności niemieckiej, mianowicie w mieście Budziszynie (Budissin, Bautzen), gdzie na 17509 wszystkich mieszkańców żyje 3065 Wendów, w pozostałej reszcie całego Królestwa Saskiego, Wendowie, żyją poprzedzielani już Niemcami. Z 274 wsi, przez Wendów zamieszkałych, znajdują się obecnie tylko już cztery, osiadłe przez nich samych. — We wszystkich innych pozagnieździł się już Niemcy.

W całym powiecie budziszynskim, do którego (prócz Budziszyna) należy 203 wsi, liczącym w ogóle 59805 mieszkańców, żyje 34000 Wendów, a 25805 Niemców. W państwie pruskim wynosi liczba Wendów, licząc okrągło, już tylko 70000. Liczba wszystkich żyjących dziś Wendów wynosi razem okrągło—121000!

Adam Ziemiański.

(Dokończenie nastąpi.)

KOLEJĄ GOTHARDA

(z Medyolanu do Lucerny)

skreślił

St. PIAST.

W stolicy Lombardji. — Z Medyolanu do Monzy. — Na jeziorze Como. — Cadenabia. — W ogrodzie villi Melzi. — Menagio. — Niewesoła powieść na koźle omnibusa. — Lago Lugano. — Na ziemi Helwetów. — Zawsze oni, albo biada słabym i zwyciężonym.

(Dalszy ciąg.)

Koleje tej korony wypisane są na ścianie kaplicy, w której ją na wieczne czasy złożono.

VI.

Młody i wesoły zazwyczaj Alfred, dziwnie spoważniał i sposepniał, ale, ażeby wytłómaczyć tę zaszłą w nim zmianę, musimy powrócić znowuż do Borków, spojrzeć w czarne oczy Klaruni, zobaczyć marsowatą twarz pułkownika.

Ten ostatni gniewnie ruszał wąsami, nie pokazywał się kobietom jak tylko na obiad, a ciotce Józefie po raz pierwszy w życiu, co prawda, wypalił sążniste kazanie, które ją do nerwowego płaczu doprowadziło.

W cichym dworku byli wszyscy jakby powarzeni, jak nie swoi. — Klarunia miała często oczęta czerwone, ciotka wdychała ciężko, a pułkownikowi wszystko wydawało się złem — niedogodnem.

Gniewał go deszcz, gniewała pogoda, ludzie nie umieli się ruszać, konie źle chodziły, a nawet ulubione jego siodło wydawało mu się starym, zniszczonym gratem, który tylko na strych, na pastwę myszom, należało wyrzucić; — a powodem tego wszystkiego była ukochana, wypieszczona Klarunia i jej serce, zaczynające się budzić z uspienia.

Pomimo zalecanej czujności, ciotka nic dostrzedz nie mogła, lecz stary wiarus czuwał i stał na straży, jak żuraw, czuwał i dojrzał niebezpieczeństwo.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pamiętki po królowej Teodolindzie należą do ciekawszych, jakie gdziekolwiek i kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Pomimo tylu wieków, zachowane są one wybornie i wcale z godnością przedstawiają sztukę złotniczą szóstego stolecia dzieciom naszego czasu. Jest tych pamiętek kilka, ale najciekawsza z nich niewielka tarcza, na której siedm złotych kurczęt okala złotą kurę. Tarcza ta, to symbol potęgi Teodolindy, która uosobiona w kurze, siedm swoich podwładnych prowincyj, upostaciowała w siedmiu kurczętach. Zarówno wzmiankowana tarcza, jak korona tejże królowej, jej wachlarz i krzyż królów lombardzkich, wszystko wykonane bardzo starannie i zaledwie ślady starości na sobie nosi.

Korona lombardzka i zakrystya z pamiętkami Teodolindy—to prawdziwy magnes w Monzie dla swoich i obcych. Nie oparłem się i ja temu magnesowi, i nie żałuję tego, bom dotykał własnymi rękoma przedmiotów, na które dwanaście wieków temu, bez przestrachu nikt spojrzeć się nie ośmielił.

Como, Lugano i Maggiore — są to najpiękniejsze jeziora w Europie. Tak powiada wloch, zakochany w skarbach natury własnego kraju. I kto wle czy nie ma on słuszności. Bo choć jeziora Szwajcaryi, groźniejszą naturę przedstawiają, i choć Salzburskie większą dają różnorodność widoków, — wody północnej Italii, ukazują przede wszystkim wdzięk niesłychany i tym wdziękiem przykuwają silnie do siebie. — Pod tym względem przyrównałbym je mógł tylko do słynnego Mjösen w Norwegii. — podczas gdy jeziora Helwecyi postawiłbym na jednej linii z tatrzańskimi. Jak w pierwszych streszczeniach wrażeń twego jest: słodycz i poezya miłości, tak drugich majestat i groza zapisują się niestartemi głoski w twojej duszy.

Ta słodycz i poezya miłości jezior włoskich sprawiły, że garną się ku nim od dawnych czasów wszyscy, którzy tych dwóch rzeczy poszukują i ci, których chore dusze spokojnego balsamu pragną. To też Como, Lugano i Maggiore, obsiadłe są willami zdrowych i pensyonatami cierpiących. — Pod ich opiekuńcze skrzydła garną się corocznie tysiące. — a każdy wita je ze spokojnym zachwytem, żegna z głębokim żalem. — Bo jest doprawdy czem się zachwycić, bo jest doprawdy za czem płakać, — zwłaszcza jeżeli się w tych uroczych włoskich stronach przepędza czas w towarzystwie ukochanych, których obecność i widok każdą piękność natury potęguje, każdy jej kaprys sprowadza do minimum!

Chodząc tak po nad lazurowymi wodami Como w Cadenabii u stóp uroczej willi „Carlotty“, patrząc na te obszary fal i grzbiety gór kąpiących w nich swoje stopy, upojony wonią zieleni i powabem całego otoczenia, — śniłem o szczęściu, jakiego tu kosztować możnaby, u stóp ukochanej kobiety. Przy niej te strony — marzyłem — zamieniłyby się w raj prawdziwy, w jej oczach jak w pryzmie czarodziejskiej, odbiłyby się w tysiącach różnobarwnych widoków, z nią dały nieurojone szczęście, pełne błogosławieństwa i świętości. — Marzenie rozwiła rzeczywistość. Ocknąłem się — oprzytomniałem. Byłem sam, o setki mil od swoich, a około mnie porozstawiane stoly z nakryciem świadczyły, że goszczący w tych czarownych stronach, nie ku miłości mieli zwrócone myśli i oczy!...

Cadenabia i Bellagio, to dwie rywalizujące z sobą niewieście piękności. Na złość jednej i drugiej kapryśna natura pomieściła je naprzeciwko siebie i rozdzieliła wązkim przesmykiem wody, po to tylko, — aby jedna drugiej z zazdrości nie mogła oczów wydrapać. Która piękniejsza?

U stóp gór, nad samymi wodami Como, w długiej linii — ciągnie się sznur jasnych domów. — Każdy dom ma piękny ogródek, każdy odbija swoją postać w zwierciadle jeziora. Z północy i południa zamykają całą osadę dwa wielkie gmachy: hotel Angielski i villa Carlotta. Wszędzie kwiaty, zieleń, aromat. To Cadenabia.

Na wązkim cyplu wsuniętym w sam środek Como, na wzgórzach lekko falującym się i porośniętym wyniosłymi drzewami, z trzech stron oblana szafirem wód, z czwartej zamknięte willą Melzi, — jak nadobna dziewica z pościeli wychyla niesmiało głowę osada. To Bellagio.

I tam i tu balsamiczne powietrze, i tam i tu bogactwo wody na każdym kroku, i tam i tu, po nad wszystkim, roztacza się wiecznie błękit nieba, jasnego, spokojnego, bez chmurki, wybierajcie!

Zaiste, wybór w dzień bardzo trudny, — ale gdy wieczór roztoczy nad ziemią swoją władzę, gdy miesiąc wychyli z po za gór swe oblicze, i jak błędny rycerz szukający po świecie swej lubej, powoli i niesmiało posuwać się zacznie po niebie naprzód, gdy rozleje na świat tę melancholię, która

mu nierozłącznie towarzyszy i dziwnym smutkiem serca ludzkie przepelnia, — o, wtedy wyboru niema i stary i młody, mężczyzna i kobieta z zachwytem się na łono Bellagio rzuca. Bo tu jest wdzięk niewysłowiony, jakiegobys daro gdzieindziej szukał, bo tu zaklętej poezyi słowa przemawiają do ciebie na każdym kroku, bo tu wreszcie drzewa i góry szemrzą jakąś pieśń dziwną, od lat tysiąca o takich słodyczach i takim szczęściu, jakie rzadko bywa śmiertelnych udziałem.

Miał więc prawdziwy gust hrabia Melzi d'Evile, gdy w tem właśnie a nie innym miejscu kazał dźwigać Albertolli'emu willę swojego nazwiska, by w niej pod cieniem starzych drzew, przy szumie starszych od nich wód jeziora, szukać pociechy i tłumić głos sumienia, wyrzucającego mu być może poddanie własnego kraju przemocy zwycięzcy z pod Arcole.

Czy pociechę tę znalazł, czy wyrzuty sumienia, ten głos najwyższego po Bogu ludzkiego trybunału, przygłuszył weselną wrzawę na łonie tej uroczej willi, — nie wiem, wiem tylko, że dziś gdy go już niema między żywymi, gdy piękna ojczyzna jego, odzyskała utraconą niepodległość, gdy o jasne błękity Como nie odbija się głos i plusk wioseł panów cudzoziemskich, wiem, że przybylec ze stron dalekich, chodząc po ogrodzie jego pomysłu i wykonania, podziwiać musi dobry gust tego lombardzkiego magnata, podobnie jak w „Villa Carlotta“, w Cadenabii podziwia brzozy, obrazy i marmury.

Niewielka przestrzeń oddziela Bellagio od Menagio, — a choć jezioro w tem miejscu jest najszersze, przecież objąć obie te osady można gołem okiem. Ale że Menagio po Bellagio wygląda jak nasz park Pragski po Ogrodzie Saskim, że przytulone do wzgórków, nie śmie nawet wychylić się w całości na świat Boży, — przeto choć płynę w jego stronę, odwrócony wzrok trzymam na przeciwległym brzegu wędrując nim to po alejach czarodziejskiego ogrodu w willi Melzi, to po przybrzeżnych hotelach, odbijających całą swoją postać w zwierciadle wód jeziora. — Wędruję wzrokiem, a z piersi wyrrywają się słowa pożegnania, na długo? — może na zawsze...

„Dalej za słońcem, gdzie jasną głowę,
W zachodnie pograża piany,
Tymczasem słońce bywaj mi zdrowe,
Bywaj zdrów kraju kochany!

— Czy doprawdy niema już miejsca w omnibusie? — zawałłem z rozpaczą po francuzku, widząc że cztery siedzenia jedyne wolnego wehikułu, zajęło jakieś towarzystwo angielskie. — Deszcz wisi nad głowami, z Parlezze statek odchodzi za godzinę do Lugano, wypadnie więc tu noc chyba przepędzić, lub wracać nad wieczorem do Bellagio.

— Jeżeli to panu nie robi różnicy — odezwał się w tymże samym języku, stojący obok młody, wysoki mężczyzna, — to proponuję panu jazdę ze mną na koźle. Niewygodna ona co prawda, ale cóż robić, kiedy inaczej nie można. Służę panu.

I zanim miałem czas się zastanowić, siedziałem już obok mego nieznanego towarzysza, słysząc za sobą wesoly szczebiot i śmiech dwóch młodych par z pod ponurego nieba Albionu.

Jechaliśmy prawdziwie czarowną drogą. Wijąc się nad jeziorem Como, dawała nam ona tak piękne krajobrazy, że się zapominało o niewygodach podróży. Zachwyceni milczeliśmy, spoglądając na prawo i na lewo, aż dopiero widok nowej jakiejś wody, rozwiązał nam obu usta.

— Pan pierwszy raz przebywa te strony — zagadnął mnie nieznanomy.

— Tak jest, panie. — Jadę z Medyolanu do Lucerny, słynną drogą S-go Gotharda, a że jeziora leżą na samej drodze, przeto zwiedzam piękniejsze ich miejsca. A pan?

— Ja mieszkam od miesiąca w Lugano, dokąd przyjechałem z Aleksandryi, zkąd znowu wyгнаła mnie wojna i pancerniki Wielkiej Brytanii. Do Egiptu przybyłem szukając zdrowia, — mam bowiem patent na tamten świat — będąc zdeklarowanym suchotnikiem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA POSTERUNKU.

I p. Prus na szlachtę. — Logika mojego przyjaciela. — Oszczędność dla oszczędności. — Odezwy i odezwy — Bądźmy sprawiedliwi. — Wzór inicjatorów. — Kto szczepi złe instynkta? — „Przegląd Tygodniowy“ i Lasker. — Osierocony liberalizm żydowski. — Rada dla jedynej córki „Przeglądu“ — Wielkie projekta i drobne czyny — Przedwczesne kadzidła. — Bodajto był bankierem!

I pan Prus zabrał się do gnębienia „szlachty“ w *Kuryerze Warszawskim*. Od pewnego czasu niema prawie jednej „kroniki“, w którejby szanowny feljetonista nie przypisał jakiejś łatki „szlagonom“, nie palnął na temat „większej posiadłości“ jakiegoś spłowiałego konceptu, i nie zawołał: hejże na pohyłe drzewo! I cóż ta szlachta winna p. Prusowi? Ha... któż jest w stanie odgadnąć tajemnicę logiki mego przyjaciela? Pan Prus miewa przecież chwile rozsądne i nieraz też, pamiętam, czytałem sam gorące apostrofy jego wzywające ogół do oszczędności; lecz gdy to samo hasło podniósł stan ziemiański, ten sam pan Prus, w chwili mniej rozsądnej widocznie, skrzywił się i odrzekł: „nic mnie to nie rozczula“, gdyż: 1) „szlachta pierwsza odznaczała się wydatkami, mającymi na celu zadowolenie próżności, ona pierwsza dawała przykład zbytku i przez to szczepiła w narodzie złe instynkta,“ i 2) „oszczędność dla samej oszczędności to nic“.

I cóż — czy nie świetna logika?

„Ogół nie pojmie — powiada pan Prus — co na tem zyska gdy bale staną się tańszymi. Owszem kucharze, winiarze, modystki i fryzjerzy krzykną wielkim głosem, że przemysł i handel upada, czyli że kraj rujnuje się.“

„Ale ogół zrozumie korzyść wówczas, gdy mu powiemy, że odtąd pieniądze wyrzucane na klejnoty, pióra, jedwabie i kucharzy, pójdą bądź na wykup ziemi z rąk obcych, bądź na wykształcenie doskonałych rolników, rzemieślników, uczonych“ etc.

Pozwól, szanowny socjologu, iż do tych głębokich twych wywodów, dodam jedną, krótką uwagę. — Oto, kto chce nauczać społeczeństwo, ten powinien przede wszystkim unikać paradoksów. Dzisiaj nawet ów nieoświecony chłop polski nie oszczędza „dla samej oszczędności“, nie zakopuje w ziemi garnków z pieniędzmi, lecz za uciulany grosz dokupuje ziemi i zwiększa swą siłę produkcyjną. — Ogół zaś nie jest aż tak naiwnym, iżby nie zrozumiał, że gdy znacznie mniej wydawać na pióra, jedwabie i kucharzy, to naturalnie będzie mógł wydawać więcej na wykształcenie dobrych rzemieślników, „ograniczenie lichwy“, „zmniejszenie śmiertelności“ i t. d.

Odezwa którą pan Prus wysydzia, nie wzywała wcale ogółu do jakiejś „oszczędności dla oszczędności“, do zakopywania pieniędzy — niewydanych na bale i toalety, lecz właśnie do użycia ich na cele podnioslejsze, na zwiększenie moralnego i materyalnego dobrobytu kraju. Czy nie tak?

Zresztą po co nam zbyt obszernie objaśniać to, co i dla pana Prusa jest jasnym? — I on chyba zrozumiał ducha onej odezwy, a jeżeli udaje iż go nie zrozumiał, jeżeli twierdzi, iż go ten „manifest“ nie rozczył zupełnie, to już nie jest winą ani odezwy ani jej autorów. Cóż winni podpisani że są „starą szlachtą“? Gdyby pod inkryminowaną odezwą było choć kilka nazwisk tej młodszej, moźeszowej szlachty, gdyby się tam znalazły imiona *...blumów*, *...stejnów* i *...bergów*, odezwa byłaby w porządku, a pan Prus bodaj czy nie pierwszy huknąłby jej: brawo! Niestety do oszczędności wezwali ogół „szlachcice“, a oni przecież według wywodów mego przyjaciela, nie powinni mieć głosu. Czy naprawdę tak? Pomówmy o tem, panie Prus, spokojnie.

Gdyby na owej szlachcie ciążyły stokroć większe „zbrodnie“ niż te, jakie zarzucają jej apostołowie liberalizmu o semickich barwach, to czy i wówczas nawet godziłoby się potomków onej szlachty zrażać do inicjatywy w rzeczach ogólnego pożytku? Czy sprawiedliwą jest rzeczą wołać; to inicjatywa szlachty a więc nic nie warta. W istocie, zachęcanie przez szlachtę do wyrzeczenia się zbytku może być nietylko nic nie warte, ale nawet szkodliwe... Rozumieją to dobrze ci wszyscy władcy złota, którzy na jej nieogłędności i w ogóle żądzy błyszczenia nurtującej społeczeństwo polskie, robili i robią najświetniejsze geszefta. Im więc takie odezwy szlachty mogą się nie podobać; lecz czy mogą, czy powinny nie podobać się publicyście polskiemu?..

Dziwna rzecz, doprawdy. Ilekroć ktoś uderzy na synów Izraela, w tej chwili sypie się grad złóżcezeń i klątw na takiego śmiałka. Siejecie rozdwojenie, zaszczepiacie nie-

zgode, — zamiast łączyć, jednoczyć, — rozbijacie klasy społeczne, wołają „kierownicy opinii publicznej“ rozmaitego kalibru i rozmaitych znaków. — Lecz gdy ciż sami prorocy, uważają za pierwszy obowiązek pracować nad zasiewaniem niechęci do stanu ziemiańskiego, gdy wyklinając szlachtę i rzucając na nią tyle piorunów, ile nigdy nie spadało na żydów, chcieliby ją wyprzeć po za społeczeństwo, wówczas niewolno przeciw takiemu terroryzmowi protestować nikomu, bo ktokolwiek odważyłby się na protest, ten byłby „nieukiem“, „zacofanem“, usiłującym „wskrziesić średniowieczną ideę szlachezyny“.

A jednak, choćby mnie miał pan Prus znowu ucześnie wołać każdym z tych epitetów, nie rozgniewam się wcale. — Poproszę go tylko uprzejmie o więcej — nie już pobjazania, lecz sprawiedliwości dla gnębięcego ziemianstwa.

Powłada pan Prus: Co tam znaczy 70 nazwisk jakiejś „starej szlachty“, skoro mamy inicjatorów takich jak p. p. Bloch, Kronenberg, Wertheim i t. d. Ależ dobrze, dobrze, łaskawy panie! Nie mam nic przeciw uwielbieniu pańskiemu dla tych imion, lecz pozwólże także i innym „obywatelom“ przemawiać do ogółu — z którym krwią i duchem są najściślej złączeni.

Jeżeli masz pan zawsze tyle słów uznania dla finansistów, to nie wysydzajże przynajmniej tych, którzy mogą mieć więcej dobrej woli i obywatelskich uczuć w sercach, niż bankierzy złota w swych kasach.

Nakouiec jedna jeszcze skromna uwaga. Oto nie trzeba być stronnikiem szlachty by przyznać, iż dzisiaj nie ona to już chyba w życiu prywatnym „szczepi złe instynkta“. Są tacy co je szczepią ale to zupełnie kto inny. — Są to ci, co nie pozwalają społeczeństwu widzieć nic po za rublem, co przerożnych geldmacherów tytułują „podskarzbami narodu“, co wstrętą gonitwą za posagiem nazywają „prawem socjologicznem“ (!), a przed każdym złotym cielcem każą bić czołem. — Czy pan, panie Prus, nie wiesz czasem o takich?..

Złe instynkta szczepią i ci apostołowie materyalistycznego cynizmu, których dziś wypiera się w ostatnim N-rze „Przeglądu Tygodniowy“. Tak; pisząc o Laskerze, odzywa się on w sens taki: „prawna wolność i równość — faktyczne poddaństwo i nierówność, taką była wolność Laskera. Hasło omamiałoby tłumy, tymczasem w rzeczywistości pędziło wodę na jedno tylko koło. National-liberalizm wolności żądał niby dla wszystkich, gdzie jednak interesy kapitalistyczne były zagrożone przez nią, tam ją poświęcał.“

„Poświęcił ją w prawach majowych dla zabezpieczenia się od szlachecko-katolickich partyj, będących wciąż groźnym widmem dla burżuazji, poświęcił ją w prawach wyjątkowych przeciw partyjom robotniczym.“

O liberalizmie żydowski! cóż się z tobą stanie i u nas, opuszczona sieroto, gdy nawet twój rodzony ojciec tak pogardliwie cię odtrąca?

I widocznie jest coś szczególnego w „Przeglądzie“, skoro jakby dla zmanifestowania tego czegoś, oświadcza on w tymże samym numerze, iż „dla osób stanu duchownego i szlacheckiego jest nawet z szacunkiem, który nie raz wyrażał“ (!!).

O tem wyrażaniu szacunku przez organ pana Wislickiego „dla osób obu stanów“ powyższych miałbym może coś do powiedzenia. W tej chwili jednak jestem tak zachwycony tym objawem zmiany frontu w „Przeglądzie“, iż zamiast polemicznej broni, wolę wziąć gałązkę oliwną i wołać z głębi piersi: mistrzu Aleksandrzel! patrz tylko co twój papa robi! On starszy, wytrawniejszy, zrozumiał, iż liberalizm żydowski bankrutuje, a z bankrutem niewarto już się wdawać. Więc jedyna córka „Przeglądu“: *Prawdo*, podaj dłoń ojcu i idź z nim razem przeciw tej burżuazji, którą on wyklął tak wyraźnie.

Cuda, — cuda widoczne dzieją się w naszej prasie, ale też nie brak i pomysłów cudownych. Pomysł taki urodził się właśnie w tutejszych sferach finansowych, i dla tego to może pewne pisma semickie trąbią o nim, jakby o fakcie dokonanym. Jeden z bankierów, który jak dotąd, nie odznaczał się ideą organizacyjną nawet we własnych przedsiębiorstwach, powziął przecież myśl wielką, zabezpieczenia losu klas pracujących, „zabezpieczenia robotnika na wypadek kalectwa, pozbawienia sił i zdolności do pracy, a wreszcie na wypadek śmierci“. — Piękne to, ani słowa, lecz hołdy i okłaski przedwczesne. Gdy „znany finansista“ zdoła urzeczywistnić u nas tę *drobnostkę*, nad którą Bismark dobrze sobie już tęgiej swojej głowy nałamał, wówczas wykrzyknemy wszyscy jak jeden: on wielki. Dzisiaj jednakże, powtarzam, kadzidła są przedwczesne, choćby dla tego, że u nas łatwiej zawsze o tysiąc genialnych projektów, aniżeli o jedno wykonanie najprostszego z nich.

Podług mnie, daleko więcej zrobił ten „naczelnik wydziału“ jednego z biur prywatnych, który widząc krzywdę swych współpracowników, rzekł się podwyżki własnej na ich korzyść wyłączną...

O tamtych przecież *czynnie* zacnego zwierzchnika ci-cho jest w tych samych pismach, w których tak głośno wy-spiewano hymny na cześć wielkiej *myśli* bankiera.

Bodaj to być bankierem!...

Kamienny.

W NOC STYCZNIOWĄ.

Obrazek z bruku.

Noc była ciemna, przejmująco zimna... śnieg zasypywał szyby okien i mury kamienie a wicher jęczał i jęczał na różne tony.

Pod zasłoną z desek, budującego się domu stał mały druciarczyk. Snadź nic nie zarobił, albo nic nie wyzebrał—u litościwych przechodniów i bojąc się powrotu z pustą kieszenią do swoich opiekunów, schronił się tu, przed okiem nocnych stróżów.

— Biedne dziecko gór, smutnemi, jak dola jego, oczyma, patrzyło w okna przeciwległej kamienicy, myśląc, iż ci którzy po za temi kryształowemi szybami spoczywają w cieplej pościeli, po pracy, lub po zabawie, nie znają pewnie, co to znaczy zimno i głód.

Jacy oni szczęśliwi, że nie słyszą tego okrutnego wicheru co żałośnym jękiem kusi opuszczonych od wszystkich do... powieszenia się.

— „Powiesz się i ty!... świszcz do ucha chłopcu, powiesz się, tułacz!”

— A może by się i powiesić? O nie! nie! Duszę zgubić i nie widzieć Boga... Najświętszej Panny i białych aniołów i za męki na ziemi pójść jeszcze potem, na wieczne, piekielne.

Gdyby choć jaka sień była otwarta!

Spojrzał dokoła i dostrzegł, między stosami cegieł, jakiś kącik przytulny; chciał więc tam się wsunąć lecz zaledwie postąpił krok jeden, potknął się o coś miękiego leżącego na ziemi.

Co to takiego? pomyślał pochylając się. Ale noc była tak ciemna, iż nic dostrzedz nie zdołał. Zaczął więc macać rękami i namacał drżącą od zimna psinę, także tułacza—który rozbudzony zaskomlał żałośnie.

Ja cię nie wypędzę, nie bój się — szepnął mały nędzarz—tyś taki, jak ja, sierota.

Sierota!.. Dźwięk tego słowa poruszył—żałobne struny w sercu chłopczyzny i głośne łkanie wydarło się z zapadłej jego piersi.

Pies podniósł łeb, skomlać do wtóru; powstał zwolna i skurczony, drżący, ustępował miejsca przybyszowi—lecz druciarczyk nie chciał korzystać z tej wspałałomyślniej ofiary zwierzęcia i usunął się na dawne miejsce. Po chwili jednak wiedziony jakąś dobrą myślą — wziął psa na ręce i szepnąwszy: zmieścimy się obaj — usiadł w kąciaku, między dwoma ścianami z cegieł.

Pies i dzieciak, obaj drżeli od zimna—a jednak druciarczyk starannie otulając, podartą burką, przeziębłe członki swego towarzysza, uczył się już nie tak opuszczonym—nie tak nieszczęśliwym jak był przed chwilą.

Dam ci jutro chleba, szepnął zcicha... dam ci chleba, jak mi go dobrzy ludzie dadzą.—A może, da Bóg, że dadzą!

Chleba!... Oj ten chleb! Iluż tu on dzieciaków wygnał z chat, z gór moich ukochanych!... A jak go wyszukać ciężko? Jak się on chowa, jak ucieka, przed temi dziećmi niedoli!

Tak myślał mały tułacz—a wiatr wciąż wyje tak okrutnie, tak dziko, jak duch piekielny—a śnieg wciąż pada i pada... bez końca.

O Boże! Żeby choć jutra dożyć!

Ale jak dożyć, kiedy ten wicher zaczyna już wyraźnie wyć: „zginiesz“!

Druciarczyk żegna się... lecz daremnie. Jakies złe zmówiło się z tym wichrem i oboje świszczą—i świszczą, coraz groźniej: „zginiesz“. Bo i jak możesz nie zginąć? Czy ty masz dach nad głową? Czy matka twoja nie leży pod ziemią pod czarnym krzyżykiem? Czy burza nie rzuciła ojca, na dno spienionego potoku?... Czy myślisz, że zobaczysz kiedyś, twoje rodzinne góry i doliny?...

— Biedny druciarczyk mały żegna się wciąż i płacze znowu—a psina podnosi nań oczy skomlać. Temi smutnemi oczyma opowiadać się zdaje swemu miłosiernemu opiekunowi, że i on także był kiedyś szczęśliwym—że sypiał w komórcie na słomie, że matka przynosiła mu codzień kradzione u ludzi ochłapy—aż nadszedł ów smutny poranek, w którym wybiegłszy na ulicę—długo nie wracała, on zaś usłyszawszy jej rozpaczliwe szczekanie, wybiegł przed bramę.

O! co to była za okropna chwila, gdy ujrział swoją matkę stojącą w budzie, za kratkami, umieszczonej jak karawan zwierzęcy na brudnym wozie oprawcy!

Oh! jakże ona go żegnała z po za tych krat... jak skowyczała żałośnie!

Odtąd, już jej nie widział — i był zawsze przeziębły i głodny!

Wicher świszczel dziecko płacze, szczenię skomli. — Straszny to koncert, w noc styczniową!

Śnieg pada coraz gęstszy—białe płaty osiadają na podartym kapeluszu druciarczyka, na jego burce. On strząsa je i otula psa, lecz daremna praca! Śnieg zwolna pokrywa kapelusz, tworząc biały turban nad głową chłopca.

I dziecko człowiek i dziecko szczenię, ucichli, już nie płaczą bo lzy marzną im na powiekach... Czarne oczy górala, tkwią upornie w ciemnym tle nieba, jakby ztamtąd wzywały opieki... miłosierdzia.

A z pod burki, wychyla się i łeb psa także i jego oczy patrzą w górę. Czyż i on ztamtąd ratunku się spodziewa?

Lecz... co to znaczy? Czy powietrze zmieniło się nagłe?... Bo oto, jakieś błogie ciepło rozchodzi się po zziębniętych członkach sieroty.

Boże! Jakież to cud się spełnił?

Już biedny druciarczyk nie siedzi pod murem kamienicy—lecz idzie znaną mu dobrze doliną między górami—idzie do chaty stojącej u stóp jednego z tych szczytów. Obok niego, biegnie mała psina—a ot, naprzeciw, skacze wesoło biała kózka, pieszczoszka! Za chwilę dojdą do chaty i odpoczną—bo długą drogę odbyli.

Ale, któż im otworzy drzwi tej chaty? Wszak ojciec chłopca na dnie przepaści — a jego matka w świętej ziemi oddawna...

Więc zatrzymuje się druciarczyk, i patrzy przed siebie I znów się dzieje cud Bozki, bo oto, pod krzyżem przydrożnym, stoją oboje!... Tak, to on! to ojciec i matka też sama, ta ukochana, żywa!...

Mały wędrowiec upada na kolana i z płaczem opowiada rodzicom, jak był daleko, daleko — w wielkim pięknym mieście, gdzie dużo pałaców i ulic po których jeżdżą piękne powozy i chodzi dużo strojnych pań i panów. O i kościołów, tam dużo! Tylko, że często, dzieciom ubogim bywa tam zimno i głodno!...

O! już on tam chyba nie wróci!

Biedny tułacz, obejmuje krzyż rękami i błaga Zbawiciela, by mu pozwolił żyć w tej cichej chacie—a po śmierci leżeć na mogiłkach wśród gór ukochanych, ojczystych...

Śnieg ustał, przysłoniwszy miękkim puchem dachy i ulice. Po niebie przesuwają się przedświtowe smugi cieniów i światła, a w powietrzu już teraz mroźnem, drży jakiś ruch budzącego się poranku.

Pod murem kamienicy—między stosami cegieł, bieli się skurczona postać druciarczyka; z pod białego zawoju utworzonego z pokrytego śniegiem kapelusza, wygląda jego twarzyczka wychudła—żółta-woskowo!

Ręce zeszywniałe obejmują kurczowo psa, również sztywnego i wynędzniałego. A szklanne, rozwarte szeroko, dwie pary oczu: dziecka i szczeniaka, tkwią upornie zwrócone ku... górze!...

I skończyło się wszystko. Tylko dla stróża porządku publicznego z tej dzielnicy wynikł kłopot chwilowy — no, i dla stróża kamienicy najbliższej...

Grabarz i czyszciciel, rozłączyli połączone w uścisku śmierci, dwie nędzne istoty, by każdy zabrać co swoje... Z powierzchni ziemi ubył dwoje... sierot — lecz za to, reporterom Kuryerów, przybył fakt bieżący, *sensacyjny* wielce!

Florentyna Niewiarowska.

Z listów do „Roli“.

Z Proskirowskiego. — Spieszę donieść wam o nader przykrem wydarzeniu, jakie miało miejsce w okolicy tutejszej. W dniu 23 zeszłego miesiąca (n. s.) na dom dzierżawcy wsi Wodyczek, p. Markuszewskiego, napadła szajka izraelitów, których poznano od razu po charakterystycznym akcencie ich żargonu. — Pan M. jest jakby „przeszkodą“ dla tutejszych synów Izraela.

Już bowiem oni wyciągnęli byli rękę po arendę Wodyczek, gdy oto pan M. ich uprzedził i wziął dzierżawę na siebie. Nie dość na tem. Sąsiad pana M. znalazł się w krytycznym położeniu, i już w gronie izraelskiem był ukartowanym łatwy sposób pozyskania obdłużonej własności, aliści pan M. zjawia się znowu z gotowością ofiarowania sąsiadowi pożyczki większej sumy. — ku czemu jednak wypadało mu pościagać najpierw swoje wierzytelności. Jakoż wkrótce stało się wiadomem, iż pan M. ma w gotowiznie dziewięć tysięcy rubli, sumę zaś większą: siedemnaście tysięcy rubli, na mocy posiadanego wekslu, miał otrzymać za dwa tygodnie od głównego swego wierzyciela, pewnego izraelity prowadzącego interesu na większą skalę, dzierżawiącego wiele dóbr i posiadającego tytuł kupca 1-szej gildyi. Otóż, poinformowani widocznie o tem wszystkim członkowie owej szajki, napadli jak wspomniałem, w nocy, na dom pana M. w sile tak przeważającej, iż zdołali związać dwanaście osób, nakazując wszystkim milczenie i grożąc śmiercią. — Równocześnie zabrali się do poszukiwania zdobyczy i odbiwszy biurko, zabrali najpierw wszystkie rzeczy złote, jak: zegarki, pierścienie, etc., a zarazem trochę pieniędzy. — Niezadowoleni tym łupem, złoczyńcy poczęli krępować silnie postronkami panią M., i wydobywać zeznania, dopytując gdzie więcej pieniędzy i gdzie są weksle? podczas gdy inni przygotowywali formalne tortury dla gospodarza domu. Przerażony tym widokiem strasznym pan M. wskazał miejsce w którym były schowane owe 9,000 rubli. Przeliczono, — było dziewięć paczek.

— I jeszcze nieć musisz! wykrzyknął jeden z oprawców, a teraz mów czyje to są weksle?!

I zaczęli leżącemu na ziemi, z wysadzonemi oczyma panu M., pokazywać kolejno znalezione kwity. — Jeden był obywatela X., drugi i trzeci wystawione przez innych wierzycieli, — wszystkie porzucono.

Natrafili nareszcie zbóje na ów najgrubszy weksel na 17,000 rubli i ten zachowawszy starannie, zabrali wraz z pieniędzmi. Po tej dopiero zdobyczy, złoczyńcy rozluźnili nieco sznury nieszczęśliwym ofiarom, przenieśli je na łóżka i zaleciwszy raz jeszcze spokojne zachowanie się, zniknęli w cieniach nocy.

Już miałem wam wysłać tę wiadomość, gdy w tej chwili dochodzi mnie wieść najpewniejsza, iż wystawca owego zabranego wekslu, zwany tutaj „baronem hrabiny“, postanowił zrabowanemu obywatelowi nie oddać *na termin* pieniędzy, z racyi, że jego weksel mogą zapłacić złodziejom bankierzy zagraniczni. — Ponieważ o tak rozległych stosunkach owego pana skryptodawcy nic nie wiedziałem, ani też słyszałem iżby nawet najgłupszy jaki bankier wypłacił tylko okazielowi tak poważną sumę na dokument imienny, wyznaje więc, iż powyższa wiadomość zdziwiła mnie mocno. — W każdym razie należy czekać co wykaże śledztwo. Tymczasem komunikując sam fakt tego przerażającego napadu, nie omieszkam podzielić się i szczegółami, gdy tylko zostaną one bliżej i dokładniej sprawdzone. *Zacharyasz Odporny.*

Z Zawiercia. — Nie mogę się powstrzymać od zakomunikowania wam jednego z tych faktów charakterystycznych, na które my tutaj, na wsi, przywykliśmy już z bólem serca patrzeć.

Niejaki Grzegorz Wasek, włościanin wsi Zawiercie, zostawił po swej śmierci posiadłość wynoszącą 30 morgów ziemi. Spadek ten, jak zwykle, przeszedł na dzieci, których było czworo: jeden syn i trzy córki zamężne. Sukcesorowie, nie mogąc się pogodzić między sobą, co do podziału ziemią, wystawili już osadę na sprzedaż, gdy wtem jedno małżeństwo ze spadkobierców umiera, zostawiając znowu czworo dzieci. W skutek tego zamierzona licytacja osady nie przychodzi do skutku; lecz równocześnie znajduje się *litościwy* izraelita, który widząc nieradność i kłopot chłopków, przychodzi im z radą i pomocą (!), ale w ten sposób, iż od razu znajdują się oni w położeniu bez wyjścia. a cała rodzina włościańska idzie w rozsypkę i marnieje.

Tym *litościwym* człowiekiem jest znany w okolicy tutejszej ze swych operacji, niejaki pan Markus Holenderski.

który wzięwszy sobie do pomocy niejakiego pana Szmula Sójkę, piastującego „godność“ pokątnego doradcy, tak długo częstował dobrodusznym chłopków, tak usilnie zapewniał ich o swej życzliwości dla nich, tak gorąco wypierał się iżby on mógł kiedykolwiek zrobić jakkolwiek szwindel, aż „ubił interes“...

I otóż w zamian za osadę, położoną w samym centrum Zawiercia a więc, przy ruchu budowlanym, jaki się tu rozwija, mającą przed sobą najkorzystniejsze widoki, pan Markus dał chłopom kawałek piasku i trochę... kamieni. Naturalnie stało się to w sposób nielegalny podwójnie, gdyż nie tylko zamiana nastąpiła bez wiedzy urzędu włościańskiego, ale i ofiarowana przez litościwego pana Markusa osada owa piaszczysta, znajduje się w innej wsi zupełnie.

Dodać należy iż, dzięki uprzejmości pana Markusa, chłopci ucześtowani należycie, przystępowali do zamiany w stanie niezupełnie przytomnym, więc też wytrzeźwiwszy się, ocenili łatwo przyjaźń i życzliwość swojego opiekuna. Nic to jednakże nie pomogło — na nic skargi i żale; p. Markus został przy swoim, a dwóch z pomiędzy biednych chłopków poprostu ze zgrzyoty zmarło. — Pozostałe po nich wdowy i sieroty nie chciały się wprawdzie ruszyć z jedyne go kąta jaki im pozostał, lecz pan Markus znalazł i na ten upór sposób, ot poprostu wypędził ich jako właściciel (!) większej części osady.

Pozostali jeszcze nieletni po jednym z sukcesorów, a więc trzeba i z temi się załatwić, pomyślał pan Holenderski. Jak pomyślał tak zrobił. — Porozumiewszy się z byłym wójtem gminy Kromolów, do której i Zawiercie należy. — *cichaczem*, bez uprzednich jakichkolwiek ogłoszeń, wystawił osadę na sprzedaż, i przypuszcivszy do niej swych znajomych współbraci, z którymi naturalnie porozumiał się naprzód, nabył już teraz upatrzoną osadę całkowicie i wyłącznie dla siebie...

Ponieważ cała ta sprawa jest od początku do końca opartą na krzyżącym bezprawiu, przeto znajdzie się ona zapewne przed kratkami komisji włościańskiej. — O rezultacie nie omieszkam wam donieść, a tymczasem komunikuję sam fakt, godzien opublikowania, choćby ku zbudowaniu tych obrońców wybranego plemienia, których przecież macie tytu w prasie warszawskiej... *L. Z.*

Z ZAGONA.

Nawozy sztuczne. — Sole potażowe — Guano peruwiańskie. — Guano rybne Fosforyty podolskie. — Czego potrzeba do ich przygotowania i skutecznego użycia. — Saletra chilijska. — Zwyczajne sposoby pozyskania związków azotowych. — W jakich warunkach optać się może używanie nawozów sztucznych.

Chcielibyśmy dzisiejszą pogawędkę z rolnikami poświęcić kwestyi tak nazwanych nawozów sztucznych.

Krótko więc najpierw załatwimy się z nawozami potażowymi, składającymi się przeważnie z soli zawierających w swym składzie związki potażu, a otrzymywanych jako uboczny, małej technicznej wartości produkt, pod nazwą „soli odrzuconej“ (Abraumsalz), w niektórych salinach, jak naprzykład w Stassfurcie (w okolicy Magdeburga) i w Kaluszu (w Galicyi).

Pomyślne rezultaty, otrzymywane acz nie zawsze, w skutek użycia na nawóz soli potażowych, w ich surowym stanie, przypisać należy szczególnym właściwościom gruntu. Tak naprzykład na gruntach powstałych z osuszonych bagnisk torfistych, użycie tych soli nie wywołuje złych skutków, owszem jest pożytecznym, ponieważ znaczny zasób wilgoci w tych gruntach, ułatwia spławienie rozpuszczalnych szkodliwych związków do warstw głębszych, dokąd już korzenie roślin uprawnych nie sięgają, toż samo prawie spotrzeźono i na gruntach piaszczystych, przepuszczalnych; na gruntach zaś wziętych, z podłożem nieprzepuszczalnym, użycie soli potażowych okazało się prawie wszędzie szkodliwym.

Ze wszystkich nawozów pomocniczych, najważniejszymi są bezwątpienia nawozy zawierające kwas fosforowy, jako wpływający nader korzystnie na wytwarzanie się ziarna i w ogóle wszelkich owoców. Materyały surowe, dostarczające rolnictwu tego związku, w postaci połączenia jego z wapnem, to jest t. zw. fosforanów, są: słynne peruwiańskie guano, oraz inne tegoż rodzaju pokłady, odkrywane na wyspach oceanu Spokojnego, kości i minerały kopalne, czyli

apatyty i fosforyty, napotykanie w Ameryce, w Hiszpanii, w Nassauskiem, wreszcie zalegające ogromne obszary w środkowej Rosji, a przed lat dziesiątkiem odkryte w g. Podolskiej, nad Dniestrem. O guanie nie widzimy potrzeby długo się rozpisywać. Każdy rolnik wie, iż ten drogi, zamorski nawóz, którego zupełne wyczerpanie na peruwiańskim wybrzeżu już w blizkiej przyszłości daje się przewidzieć, nie dla nas. Nie jesteśmy dość bogaci aby go kupować i na tem polu konkurować z Anglikami albo Niemcami.

Tak zwane „rybie guano“ będące przerobem odpadków z ryb, przy ich soleniu i wędzeniu pozostałych, wyrabiane głównie w Norwegii, ze względu na niewielką stosunkowo swą ilość, podrzędne tylko może mieć dla rolnika znaczenie. Daleko jeszcze mniejsze posiada nasze „guano nietoperze“, znajdujące się w jaskini Jerzmanowskiej w pobliżu Ojcowa.

Tymczasem, pola nasze, pomimo obfitego a zawsze kosztownego nawożenia, zwłaszcza w okolicach ubogich w łąki, przez sprzęty roślin zbożowych i buraków, coraz bardziej ubożają w zasoby kwasu fosforowego, czego dowodem jest stale zmniejszająca się wydajność ziarna. Nawet materiały znajdujące się u nas w kraju, które po stosownem przygotowaniu mogłyby ten brak wynagrodzić, jeszcze są dla nas za drogie, gdyż wolimy kości, o ile ich nie spotrzebują cukrownie, sprzedawać zagranicę. Kopalne fosforyty Rosji środkowej jako też podolskie, pomimo znacznej w nich zawartości kwasu fosforowego, nie zdołały jeszcze zachęcić naszych przemysłowców i kapitalistów do wyzyskania tego surowego materiału, który w naturalnym swym stanie nie jest na nawóz przydatnym. — Znajdujący się bowiem w nim związek kwasu fosforowego z wapnem, czyli fosforan wapna, nie jest w wodzie rozpuszczalnym, a więc jako taki, za pokarm dla roślin służyć nie może. Dopiero po najstarszym sposobem sproszkowania materiału, a następnie traktowaniu go kwasem siarczanym, część wapna łącząc się z tym ostatnim tworzy siarczan wapna czyli gips, zamieniając pierwotny fosforan na fosforan wapna kwaśny, czyli tak zwany nadfosforan (superfosfat). — Manipulacja taka wymaga kosztownych przyrządów i z korzyścią może być prowadzoną tylko na sposób fabryczny.

Nie należy też spuszczać z uwagi tej okoliczności, że tak zwany nadfosforan, bez względu czy wyrobiony z kości, czy z fosforytu, podlega następnemu przeobrażeniu czyli cofaniu się, to jest że się z łatwością zamienia napowrót w nierozpuszczalny fosforan wapna i w takim stanie traci swoją działalność nawozową. Zdarza się to przeważnie na gruntach wapiennych, mało zawierających próchnicy, zwłaszcza jeżeli go użyjemy na nawóz na czas dość długi przed zasiewem. — Łatwą jest do zrozumienia rzeczą, iż rolnik się powstrzyma od użycia kosztownego nawozu, nie będąc pewnym czy ten istotnie posiada pożądane własności, tak aby koszt na kupno jego wyłożony, mógł się mu niezwłocznie i sownie wrócić. Okoliczność ta właśnie ujemnie wpływa na rozpowszechnienie pomocniczych nawozów zawierających kwas fosforowy.

Lecz jednostronne użycie nawozów fosforanowych chociażby w związkach łatwo rozpuszczalnych, nie przyniesie pożądanego skutku, jeżeli ich nie połączymy z innymi, niemniej ważnymi materiami nawozowymi, jakimi są wszystkie związki azotowe. Azot jako pierwiastek znajdujący się w niewyczerpanej ilości w powietrzu atmosferycznym, sam przez się zachowuje się obojętnie względem wszystkich ciał, nie wyłączając nawet tych, z którymi wchodzi w związki pod wpływem działania takich czynników jak elektryczność, lub innych objawów sił przyrody, dotąd zupełnie jeszcze zbadanych. Wyniki najnowszych doświadczeń upoważniają wszakże do mniemania, iż związkiem w którym azot może służyć za pokarm dla roślin, jest połączenie go z tlenem, to jest kwas azotowy. To nam tłumaczy działanie tak zwanej saletry chilijskiej (azotan sody, w przeciwstawieniu do saletry indyjskiej, która jest azotanem potażu). — Działanie tej ostatniej jako nawozu zawierającego dwa, zamiast jednego, czynniki nawozowe, mogłoby być nierównie skuteczniejsze, gdyby nie wysoka jej cena, która każe ją zastępować tańszą saletrą chilijską, pomimo to, iż druga jej część składowa, soda, dla uprawianych roślin nie ma żadnego znaczenia. — Lecz i ta nawet znajduje zastosowanie w wyjątkowych tylko okolicznościach. W zwykłych gospodarczych warunkach rolnik stara się o pozyskanie potrzebnego mu azotu, przez utrwalenie tego pierwiastku w gnoju stajennym, w którym się znajduje w postaci lotnego węglanu amoniaku, a to przez przesypanie gnoju gipsem, przez co amoniak zamienia się na sól mieloną czyli siarczan amoniaku. — Zamożniejsze gospodarstwa posługują się rozmaitemi fabrycznymi odpadkami azot zawierającymi, do których należą: mąka rogowa,

odpady przy fabrycznym praniu wełny, woda przy płukaniu gazu oświetlającego pozostała i t. p. Skuteczność guana zależy również w znacznej części od zawartości w nim azotu w postaci amoniaku lub kwasu azotowego, w rozmaitych związkach.

W ogóle zatem rzecz biorąc, nawozy pomocnicze, czyli tak zwane handlowe, dostępne są tylko dla gospodarstw usilnie, czyli intensywnie prowadzonych, w których bardzo znaczny kapitał ulega szybkiemu obrotowi i w przeciągu krótkiego stosunkowo czasu, zwraca się ze znacznym zyskiem. Lecz co do gospodarstw w innych będących warunkach, to tutaj, użycie nawozów pomocniczych zwiększyłoby wprawdzie plony, lecz kosztem czystego zysku gospodarza, który przecież, racjonalnie zadanie swoje pojmujący rolnik, musi mieć ciągle na uwadze.

Stanisław Rewieński.

KRONIKA BIEŻĄCA.

KRAJOWA.

Od redakcyi. W obec otrzymywanych z różnych stron wiadomości, iż księgarnie żydowskie w miastach prowincjonalnych, a niektóre i w Warszawie także, odmawiają przyjmowania prenumeraty na *Rolę*, widzimy się w konieczności powtórzyć oznajmienie nasze, iż zamówienia na *Rolę* mogą być nadsyłane zwykłą drogą pocztową, w „listach otwartych“. Po otrzymaniu takiego ządania, z wypisaniem dokładnego adresu, kompleta *Roli* od Nowego Roku wysyłane będą *bezwzględnie*. — prenumerata zaś może być wnoszona przy pierwszej sposobności.

„Kraj“, a za nim i dzienniki tutejsze, powtórzyły wiadomość, iż czasowy Komitet do spraw włościańskich Królestwa Polskiego, po ostatecznem rozstrzygnięciu niektórych zawitych kwestyj serwitutowych, zakończy swe istnienie w ciągu bieżącego jeszcze kwartału; zarząd zaś sprawami włościańskimi w Królestwie przechodzi do ogólnego wydziału ziemskiego.

Kredyt włościański. — W ministerium skarbu agituje się projekt utworzenia w guberniach kraju zachodniego oddziałów banku włościańskiego.

Z prasy. „Prawda“ (Nr. 5), pisząc o upadku banku włościańskiego we Lwowie, tak mówi między innymi: „Przedstawiciele narodu nie mieli czasu na chłopską sprawę, bo urządzali koronacje świętych obrazów.“ No... patrzcie państwo! — i któżby był przypuścił, że jedną z przyczyn upadku wspomnianego banku był obrzęd koronacji obrazu Matki Boskiej w Krakowie? A przecież i ta *uczciwa prawda* „stoi“ najwyraźniej w „Prawdzie“.

W miejsce „Gospodni Wiejskiej“ wyszedł pierwszy numer czasopisma „Dwór Wiejski“. Obok innych prac z dziedziny gospodarstwa wiejskiego, znajdujemy tu artykuł p. t. „Stypendya dla kształcących się w zawodzie mleczarskim“, który, ze względu na myśl pożyteczną, w jednym z najbliższych Nrów „Roli“ pomieścimy w całości.

Bibliografia. Wyszło z druku sprawozdanie za rok 1882/3 „Szkoły Rzemiosł“ istniejącej w Warszawie przy ulicy Jasnej.

Pożyteczny projekt. Redakcyja „Inżynierji i Budownictwa“ stara się o urządzenie w Warszawie „stałej wystawy wyrobów rzemieślniczych“. Gorąco pragnąc należy aby myśl ta, ze wszech miar pożyteczna, corychlej stała się czynem, co też wkrótce już ma nastąpić.

Uczczenie pamięci. Powstała między uczniami, uczniemi i kolegami ś. p. Boczyńskiego, myśl uczczenia pamięci zmarłego, przez utworzenie stypendyum jego imienia, staje się bliżką wykonania. Redakcyja bowiem „Tygodnika Ilustrowanego“ w Nrze 56 z r. b. oznajmiła, iż zajmuje się zbieraniem ofiar na ten cel nadsyłanych.

Zebrań koleżeńskie. W zeszłą sobotę odbyło się w Warszawie zebrań wychowawców b. „Instytutu Szlacheckiego“. Wielu z kolegów, od czasu opuszczenia ław szkolnych, nie widziało się przez lat 23. Na zebrań przemawiali głównie ziemianie, zgromadzeni w największej stosunkowo liczbie.

Odczyty. Zapowiedziany odczyt pana J. Brun o Alfonsie Daudet, zgromadził w zeszłą niedzielę dość licznych słuchaczy. Odczyt odznaczył się głównie piękną formą i wyborną deklamacją prelegenta.

Z Teatru. Krotchwila p. t. „Dom otwarty“, doznaje ciąglego powodzenia na scenie warszawskiej. Autor krotchwili, pan M. Bałucki, był gościnnie przyjmowanym w Warszawie, w gronie artystów dramatycznych i komedyopisarzy.

Zdrowotność w Warszawie jest nieszczególna, zmarło bowiem w zeszłym tygodniu aż 230 osób. — W tej liczbie z chorób

epidemicznych, najwięcej ofiar zabrał tyfus brzuszny, a mianowicie: 13; ze szkarlatyny i błonicy 10, z ospy 2. Szpitale są przepelnione chorymi, a według ostatniego wykazu wolnych łóżek znajduje się obecnie tylko 16.

Zmarli: W Skrwilnie, pow. Rypińskim (Płockie), *Atanazy Jeżewski*, właściciel tegoż majątku, lat 61. W Biernacicach, pow. Tureckim (Kaliskie), właściciel ziemski, *Felicyan Lisiecki*, dobroczyńca podwładnej mu czeladzi. W Paryżu, *Fel. Klem. Breański*, b. oficer b. wojsk polskich, potem generał turecki (Lira-basza).

ZAGRANICZNA.

Z „Hotdu Pruskiego“ Matejki „Illustracya Hiszpańska“ zamieściła piękny drzeworyt, poprzedzony w tekście obszernym życiorysem Matejki i określeniem jego wpływu na sztukę polską.

Pisma pośmiertne Juliusza Słowackiego, znajdujące się dotąd w manuskryptach biblioteki Ossolińskich i osób prywatnych, zebrane jako tom dodatkowy, wyjdą niebawem z druku, nakładem jednej z lwowskich księgarń.

Lena — jak donoszą nasze dzienniki, wykonywa obecnie „Parnas polski“ gl i e na pierwszym miejscu znajdują się: Mickiewicz, Brodziński, Zaleski, Pol, Słowacki, Krasiński i Goszczyński. W miarę wynurzania się postaci z gliny pod ręką mistrza, widzowie coraz żywiej podziwiają śmiałość i piękność ponyśtu.

„Przyszłość“, organ krakowskiej młodzieży uniwersyteckiej, przestała wychodzić. — „Dyabeł“ taki jej napisał nekrolog: „Przyszłość“ należy do przeszłości, co nam każe dobrze tuszyć o przyszłości naszej młodzieży.“

W Paryżu zmarł jeden z głównych działaczy partii bonapartystów, b. minister Napoleona III-go, Rouher.

Z Wiednia. Na mocy rozporządzenia ministeryalnego, z d. 30 z. m., o stanie wyjątkowym, wydano w ostatnich dniach wielu obcych robotników, znanych z krzewienia zasad socyalnych.

SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

8 Lutego 1884 r.

Na rynku pieniężnym ciągle źle się dzieje. Giełda berlińska dla rubli nie jest wcale łaskawą i w rezultacie znajdujemy się na tym samym co tydzień temu poziomie. Za 100 rs. na dostawę końcomiesięczną Berlin wyżej 195.50 m. płacić nie chce.

I na naszej więc giełdzie, przy niezmiennie nieprzyjaznych warunkach miejscowych, stan rzeczy nie mógł się zmienić. Za 100 marek w wekslach na Berlin, długoterminowych, żądano 50.95, w krótkoterminowych 50 77 $\frac{1}{2}$ — płacono 5 do 7 $\frac{1}{2}$ kop. więcej. Za 1 f. st. w wekslach na Londyn 10.31, za 100 franków na Paryż 41.25, za 100 florenów na Wiedeń 85.70 żądano.

Papiery również nie świetnie. Listy likwidacyjne, w obfitości ofiarowywane; 88.40 za większe, 88.25 za mniejsze żądają. Pożyczka wschodnia 92.50. Świeżo wprowadzone na giełdę listy wileńskie kredytu rolnego po 92.50 i 93 stosownie do terminu są ofiarowywane.

Listy zastawne ziemskie ciągle prawie jednakowo. Za A seryi I 100.35 żądają, 100.20 płać. Inne serye jak zwykle nieco niżej, przy stopniowaniu stosunkowo do odcinków, Seryi IV po 99.95 za A i B płacono.

Listy miasta Warszawy i Łodzi bez zmiany też prawie. Pierwsze 96, 94.10, 93.10, 92.45, drugie 86, 85.50, 83.25 w żądaniu.

Rynek akcyj w zupełnym zastoju.

Handel zbożowy nie może się pochwalić wielką poprawą stanu rzeczy. Wprawdzie po bankructwach w New-Yorku i Chicago i przejściu zapasów w inne ręce, cena pszenicy tamże podniosła się nieco, niemniej jednak ruch ten zwykły nie udzielił się rynkom europejskim. Anglia obficie zaopatrzona, nie spieszy z zakupami. Na rynku berlińskim przez długi parę ceny zbóż do zwykłej dążyły, poczem jednak nastąpiła reakcja i osłabienie usposobienia.

Z cesarstwa doniesienia nie są pocieszające. Przy bardzo obfitych i ciągle wzrastających zapasach, chęć kupna jest bardzo mała, a w skutek tego i ceny chylą się ku niższe.

Na naszym rynku dowozy ciągle dosyć obfite, a nawet w niektórych dniach bardzo znaczne.

Jak dotąd tak i teraz poszukiwane są gatunki wyborowe zboża, tak pszenicy jak żyta, których jest bardzo mało.

Płacono na rynku Witkowskiego za pszenicę bardzo dobrą do 9 rs. 30 kop. za korzec. Inne gatunki niżej, stosownie do dobroci ziarna, poczynając od rs. 7 za lichą, a nawet i niżej. Żyto — od 5 rs. do 6.30, gorsze wcale nie kupowane. — Owies 2.85 do 3 rs. Innego ziarna bardzo mało, a chociaż się nawet pokaże, amatora nie znajduje.

Na stacyi Praga drogi Terespolskiej płacono pszenicę 110—150 kop. za pud; żyto 90—104, jęczmień 92—102, owies 82—96, groch 96—117 kop. za pud.

Siano i słoma pozostają przy cenach niezmiennych 40—50 kop. za pud siana, 30—35 za pud słomy.

W handlu mąką panuje wielka stagnacya. Ceny bardzo różne, stosownie do warunków dokonanej tranzakcyi — choć w zasadzie niezmiennione

Rynek *cukrowy* łądzi się nadziejami zmian na lepsze, opartymi na obietnicach większych zapotrzebowań z Cesarstwa, gdzie się podobno zapasy wyczerpują. Tymczasem jednak o tranzakcyach większych nie może być mowy, a ceny obniżają się. — Za rafinady pierwszorzędne marki 4.10 do 4.15 wyjątkowo za Hermanów płać w sprzedażach detalicznych; marki drugorzędne 4 rs. do 4.05 za kamień 24-funtowy. Mączka również niżej 3.30 za kamień a w większych partjach 3.22 $\frac{1}{2}$ do 3.25.

Ceny nafty niezmiennione.

Wełna znajduje pewien zbyt zagranicę, lecz w ilościach niewielkich, po cenach nieco niższych niż na jarmarku zeszłorocznym.

Skóry w ostatnim tygodniu pewną podwyżkę zyskały. — Na sztukach ceny podniosły się o 40 — 60 kop.; w handlu na wagę o $\frac{1}{2}$ — $\frac{3}{4}$ kop. na funcie. Skórki cielęce bez zmiany.

Dowóz *hydła* średni. Stepowego 1768 sztuk, krajowego 176. Cieląt 1292, wieprzów 2800 dostawiono. Spodziewaną jest zwykła cen wieprzów, z powodu otwarcia granicy niemieckiej dla wywozu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Ks. Szpadrowski, w Kluczu. Za życzenia i błogosławieństwo serdeczne ślemy Bóg zapłać! Najmilsze to są dla nas takie słowa uznania, i w nich też czerpiemy głównie siłę do dalszej pracy. „Żydzi, Niemcy i My“ wyczerpane, z żalem więc nie możemy uczynić zadość życzeniu.

Wiarusowi z za Judki. Dziękuję serdecznie. Czy będzie drukowaniem lub nie, pozostanie zawsze dla nas miłą pamiątką.

P. A. Sidorowicz. Pomieścimy chętnie, bez względu że i w „Roli“ „składy nasion drukują swoje ogłoszenia płatne“. Taka parcynałość handlarska stanowczo ubliżałaby piśmu, i dla tego też organom, o których sz. pan wspomina, dziwniny się bardzo. Prosilibyśmy tylko o trochę cierpliwości.

P. And. Ledwoch. Odebraliśmy, dziękujemy uprzejmie, pomieścimy w przyszłym numerze. W istocie, zjawisko to więcej niż ciekawe.

Hr. Kos. — Wszystkie numera wysłane. Za sympatyę dziękujemy uprzejmie.

P. Hen. Telczyński przez Hołoby. U nas nie opłacono. Widocznie sz. pan wniósł opłatę przez księgarńkę. W każdym razie dalszą wysyłkę wstrzymujemy.

Zuołenniczce. Ba... a czegoż oni nie wymyślili jeszcze dla szkody tej nieszczęsnej Roli?

Ks. Lendo, w Jed. Należy nam się dopłaty do prenumeraty z roku zeszłego rs. 1, i za kwartał bieżący rs. 2. Należność może być wniesioną przy najdogodniejszej sposobności. Tymczasem chętnie czynimy zadość życzeniu.

Semicie. Ależ panie, przywykliśmy już tak do waszych brutalnych anonimów, iż one zamiast „gniewać“, tylko śmieszyć nas mogą. — Więc piszcie jak najwięcej. Dobra przy ciężkiej pracy choćby taka... rozrywka.

Czytelnikowi. Który „więcej żydowski“? Ha... chyba już *Codzienny*.

OGŁOSZENIA.

FABRYKA

WYROBÓW METALOWYCH I ODLEWÓW

T. GWIZDZIŃSKIEGO i Comp.

przy rogu ulic Nowego Świata i Książęcej Nr. 2.

posiada wielki zapas:

Kranów, Wentyli, Oliwiarek, Świstawek i t. p.

6-2

WYRÓB I SKŁAD KEFIRU

D-ra Wł. WYSZYŃSKIEGO

12-11

21 Krucza — Jerozolimska 9. Wejście z Kruczej.

Sprzedaż Kefiru, oprócz składu odbywa się w Aptekach W. P. Popiela i Wilczyńskiego, ulica Jerozolimska 7, W. Ziemińskiego, ul. Marszałkowska, W. Turowskiego, ul. Karmelicka, W. Wójcickiego na Nowym-Swiecie i w Mlecznych zakładach W. Boguckiego, Chmielna 4, Długa 32.

Przewodnik Firm Handlowych i Przemysłowych.

ANTYKWARYATY.

Gabinet księgarsko-antyczny Cezarego Wilanowskiego.
Bracka Nr. 7.

FABRYKI BILARDÓW.

Trotschel F. Czerniakowska N. 68, wprost Górnej—w domu własnym.

FABRYKI POWOZÓW.

Stopczyk Jan. Fabryka powozów, Elektoralna Nr. 7c (794)

FABRYKI SZUWAKSU I ATRAMENTU.

Gliński S. Szuwaks glicerynowy i atrament. Nowy Świat, 67.

KAPELUSZE i CZAPKI.

Tuczyn Antoni. Magazyn kapeluszy i czapek. Podwał, 14.

MAGAZYNY MEBLI.

Dzięgielewski Józef. Magazyn mebli i tapicerski Ś-to Krzyżka Nr. 8.

Otwinowski T. Zakłady stolarskie, tapicerskie i dekoracyjne. Nowy-Świat Nr. 38.

MASZYNY POMOCNICZE (dla fabryk i rzemiosł).

Gerlach et Comp. Srebrna N. 8.

OBICIA PAPIEROWE.

Czarnecki J. i Syn. Obicia papierowe, ceraty, rolety, gzem sy do firanek. Nowy Świat 76.

Rembierz A. Wielki wybór—najniższe ceny. Chmielna, 25.

OZDOBY KOŚCIELNE.

Saunert Karol. Fabryka ołtarzy i innych ozdób kościelnych, Chłodna Nr. 14.

SZEWCY.

Hiszpański Stanisław. Szewc. Warszawa, Długa Nr. 35.

Zbrożek Józef (syn). Magazyn obuwia damskiego i dziecięcego. Przejazd Nr. 2.

WYROBY METALOWE.

Bitschan Paweł. Fabr. wyr. brązowych, aparatów kościelnych, napisów metalowych, herbów i liter. Długa, 47.

K. M. Kaczanowski. Fabryka brązowniczo-tokarska i platerowanie. Miodowa Nr. 1.

WYROBY ZŁOTE I SREBRNE.

Jakimowicz J. Fabryka wyrobów złotych i srebrnych, — wyroby gotowe. Senatorska 22.

Mankielewicz M., Wyroby złote, srebrne i brylantowe. Gmach Teatralny pod filarami.

WYROBY ŚLUSARSKIE.

Puchalski J. — Fabryka slusarsko mechaniczna. Tłomackie Nr. 6. — Długa Nr. 51.

SKŁAD NASION WASILEWSKI & PILASKI

w Warszawie,

ul. Nowo-Senatorska Nr. 5, Hotel Litewski

kupuje w każdej ilości, po najwyższych cenach targowych Nasiona Konieczny białej, czerwonej, szwedzkiej i Tymoteusza i uprasza uprzejmie o oferty z dołączeniem prób dokładnych, z kupy branych.

Dla dogodności Panów Obywateli, na żądanie tychże większe partje, od 10 korcy począwszy, jest gotów zabierać i płacić na miejscu w majątku, wymagając tylko odstawy do najbliższej stacji kolejowej. 4-3

Treść numeru. Większa własność ziemska w Galicji p. Teof. Merunowicza. — Czego chcą od nas? (List szlachcica). — Realizm francuski i jego wyznawcy, prz. T. Ch. — Listy z Poznańskiego, p. Adama Ziemiańskiego. — Koleję Gotharda (z Mediolanu do Lucerny), skreślił St. Piast (l. e.). — Na posterunku, feljeton Kamiennego. — W noc styczniową (obrazek z bruku) przez Florentynę Niewiarowską. — Z listów do „Roli”. — Z Zagona, przez Stanisława Rewieńskiego. — Kronika bieżąca krajowa i zagran. — Sprawozdanie handlowe. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — W odcinku: Pułkownik, obrazek wiejski, przez Klemensa Junoszę.

Najtańsze pismo codzienne polskie

„Dziennik dla Wszystkich.”

Program obejmuje: 1. Wiadomości kościelne, dworskie i urzędowe 2. Artykuły wstępne we wszelkiego rodzaju sprawach społecznych. 3. Kronikę warszawską i kronikę wiadomości krajowych, listy i korespondencje krajowe. 4. Wszelkiego rodzaju artykuły i korespondencje z Cesarstwa. 5. Wiadomości i sprawozdania polityczne. 6. Sprawozdania sądowe. 7. Krytykę literacką i artystyczną. 8. Telegramy 9. Wszelkiego rodzaju i wszelkiej treści przeglądy, artykuły, korespondencje i sprawozdania zagraniczne. 10. Humorystykę. 11. Logogryfy, szarady, rebusy, zagadnienia, szachy, afisze teatralne, koncertowe i inne. 12. Wszelkiego rodzaju wiadomości handlowe i przemysłowe, termina losowań publicznych, kursa giełdy krajowe i zagraniczne, ceny zboża, okowity, tabele wygranych w loteryi klasycznej warszawskiej i t. p. 13. Feljeton treści beletrystycznej — powieści, nowelle, humoreski, opowiadania, szkice, pamiętniki, podróże, poezje i t. p. 14. Wszelkiego rodzaju ogłoszenia i reklamy.

Przedpłata wynosi:

w Warszawie:		na Prowincyi i w Cesarstwie:	
Rocznie	rs. 3 k. 60.	Rocznie	rs. 6 k. —
Półrocznie	„ 1 „ 80	Półrocznie	„ 3 „ —
Kwartalnie	„ — „ 90.	Kwartalnie	„ 1 „ —
Miesięcznie	„ — „ 30.		

Za odnośnienie do domu dopłaca się miesięcznie pięć kopiejek. w czem mieści się opłata za opakowanie i przesyłkę pocztową.

Prenumerować można w Redakcyi, we wszystkich Kioskach, Księgarniach i Kantorach pism peryodycznych, — z prowincyi najlepiej nadsyłać opłatę bezpośrednio, pod adresem:

Redakcyja „Dziennika dla Wszystkich” — w Warszawie, Mazowiecka 11.

Od dnia 1-go Stycznia drukujemy w „Dzienniku” nadzwyczaj ciekawą powieść Bosgobey'a „**STAROŚĆ LECOQ'A**”.

Redaktor

Henryk Perzyński

Wydawcy

Piotr Noskowski.
Józef Śliwowski.

Kto chce się ubrać tanio i wykwintnie, niechaj się uda

do Magazynów

S. BIAŁOCHUBKA

Ś-to Krzyżka Nr. 23

i Bielańska, Hotel Paryzki

gdzie przy wielkim wyborze materiałów i ubiorów gotowych, można mieć ubranie wykończone w przeciągu 24 godzin.

Produkując en gros, magazyny Białochubka są w stanie oddawać wyroby swe **najtaniej** jak o tem przekonać się można na miejscu.

Próby, Cenniki, oraz sposób wzięcia sobie miary, wysyłają się bezpłatnie. 52-19

Kupcom rabat!

Ważne Zawiadomienie.

Panowie Właściciele Ziemszy którzyby chcieli rozkoleonizować (rozparcelować) całe dobra lub pojedyncze folwarki — raczą się zgłaszać piśmiennie lub osobiście, po bliższe informacje do Zarządzającego I-em Biurem Posłańców w Warszawie, Marszałkowska Nr. 48. 6-2

Do numeru dzisiejszego dla prenumeratorów na prowincję dołącza się cennik składu nasion K. Jarochońskiego et J. Hebanowskiego w Warszawie.